Nr. 34. Poznań, Niedziela 18go Listopada 1894 r. Rok. I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

POLITYKA.

Nadzieje rosyjskie.

Petersburg, 10 listopada.

Stolica przygotowuje się do przyjęcia zwłok zmarłego cara i do powitania jego następcy, który oświadczył, że przybędzie w jednym pociągu ze zwłokami ojca. Trochę to się nie podoba petersburgskiemu motłochowi, który wolałby obdarzyć młodego cara hałaśliwszymi objawami swojej lojalności, ale trudna rada, trzeba będzie zachować się cicho i spokojnie*). Ciało Aleksandra III ma przybyć do Moskwy w sobotę 10 listopada, a do Petersburga w poniedziałek 12. Na ulicach miasta już się zaczęły przygotowania do żałobnego przystrojenia gmachów i pałaców, a od jutra powinno się rozpocząć rozwożenie wojsk wzdłuż drogi żelaznej petersbursko-moskiewskiej, aby służyły jednocześnie za straż honorową dla zmarłego i za rzeczywistą dla żyjącego cara. Tak pewna »ochrona« tj. obstawienie wojskiem całej linii, po której jedzie cesarz (po 15 żołnierzy na kilometr praktykowana za Aleksandra III będzie podobno na ten raz jeszcze zastosowana w całej swojej bezwzględności; policya chce zapewne od samego początku wzbudzić w umyśle młodego cara przekonanie, że jego życie tak samo nie jest bezpiecznem w ojczyźnie, jak nie było bezpiecznem życie jego ojca. Ciekawa rzecz, jak spojrzy na tę sprawę sam młody monarcha Rosyi: czy każe skasować ten zwyczaj mobilizowania prawie całego korpusu wojska dla każdej carskiej podróży, czy będzie w dalszym ciągu jeździć z tak licznym konwojem. Kwestya ochrony niezmiernie interesuje tutejszą publiczność. Zachowanie się cara pod tym względem będzie tutaj uważane za wskazówkę jego usposobienia. Jeżeli zniesie ochronę, powiadają, to będzie to oznaczać poniekąd, że ma zamiar zaufać swojemu narodowi, a że na to, żeby mu módz ufać, trzeba zasłużyć, więc będzie to niejaką wskazówką, że postanowił zmienić ten kierunek wewnętrznej polityki, który zatruwał życie jego ojcu, zmuszając go do otaczania się wojskiem dla własnego bezpieczeństwa.

Prasa w dalszym ciągu zajęta jest wyliczaniem niezliczonych objawów smutku zachodniej Europy z powodu śmierci Aleksandra III. Z dumą, ale i z pewnem zdziwieniem rosyanie wskazują na te objawy i mówią, że szanowna Europa jednak musiała być w porządnym strachu przed potęgą Rosyi, kiedy tak demonstracyjnie ubolewa nad zgonem człowieka, co jakoby jeden podtrzymywał pokój na świecie. W kwestyach wewnętrznej polityki prasa naturalnie nie wiele może mówić, tembardziej, że zaraz po śmierci cara wydział prasy przy ministerstwie spraw wewnętrznych wezwał wszystkich redaktorów stołecznych pism i udzielił im pewnych wskazówek w duchu wstrzemięźliwości. Zawsze jednak od czasu do czasu coś się przemknie takiego, czegobyśmy nie spotkali przed dwoma tygodniami. Tak n. p. „Nowosti“, które zdaje się mają zamiar piastować pierwsze skrzypce w koncercie liberalnej prasy, znowu wystąpiły z artykułem, zatytułowanym „Na przyjazd cesarza“, w którym usiłują poddać mu parę myśli nie bardzo zgodnych z zasadami samodzierstwa. Rosya, mówią „Nowosti“, posiada świetny rząd (!), dobrze funkcyonującą machinę biurokratyczną, waleczną armię, ale nie posiada światłego i świadomego swojej roli w kraju społeczeństwa. Trzeba rozruszać to społeczeństwo, jak to zrobił niegdyś Piotr Wielki. Rosya rozumie, piszą dalej „Nowosti“, że dziś nic nie powinno jej być obcem z tego, co wytworzyły inne narody. Postęp na polu nauki, sztuki, przemysłu, *rozwoju politycznych i społecznych idei* powinien stać się własnością i rosyjskiego narodu, jeżeli ten naród ma dorównać innym, co dzisiaj przodują ludzkości. Otóż ten postęp na polu *politycznych i społecznych idei*, dla którego oczywiście został napisany cały wspomniany artykuł, brzmi bardzo dziwnie w ustach publicysty, piszącego w Petersburgu. Jest coś w powietrzu, powiadają sobie ludzie, jeżeli pisma pozwalają sobie na takie śmiałe wybryki. I rzeczywiście coś jest w powietrzu. Pogłoski o niedalekich reformach oblatują całe miasto i przybierają coraz to bardziej konkretną formę. Po pierwsze jest rzeczą prawie pewną, że wszyscy ministrowie mieli zamiar podać się do dymisyi, żeby wyjść z honorem i jednocześnie ułatwić młodemu carowi przystąpienie do zmian, któreby musiał rozpocząć od stopniowego rozstawania się z dawnymi sługami swojego ojca. Od tego jednak zamiaru odstąpili jako od zbyt sprzecznego z odwiecznemi tradycyami rosyjskiego rządu. Dalej coraz to głośniej i zawzięciej zaczynają mówić o konstytucyi, którą jakoby ma dać młody cesarz. Mówiono o tem i wcześniej ale w sposób niejasny, nieokreślony. Od paru dni jednak zaczęto oblekać te mgliste przypuszczenia w pewne bardziej określone formy. Reforma owa ma polegać na wprowadzeniu do rady państwa obok członków mianowanych przez cesarza, z których wyłącznie składa się dziś ta instytucya, pierwiastku wyborczego. Każda z gubernii, posiadających tak zwane ziemstwo, to jest autonomiczną korporacyą dla drobnych spraw miejscowych, ma otrzymać prawo wysłania do rady państwa po dwóch członków, wybieranych samoistnie, z gubernii zaś, nie posiadających ziemstw, (cała Polska, Kaukaz, Syberya) przedstawiciele mają być mianowani według wskazówek gubernatorów. Posiedzenia rady państwa, zwiększonej w ten sposób przez blisko 200 przedstawicieli kraju, mają być publiczne. Cesarz ma zachować *prawo* zgadzania się ze zdaniem mniejszości. Jest to w ogólnych zarysach tak zwana konstytucya hr. Lorys-Melikowa, która została podpisaną przez Aleksandra II na chwilę przed śmiercią i jako taka posiada już moc prawną, tylko była odłożona ad acta przez Aleksandra IIIgo na usilne nalegania pana Pobiedonoscowa i W. księcia Włodzimierza. Nie wiele to, bardzo nie wiele, ale zawsze wskrzeszenie tego zapomnianego już projektu byłoby olbrzymim krokiem naprzód na drodze do ostatecznego wprowadzenia reprezentacyjnego rządu w Rosyi. Na razie ta reforma dałaby się uczuć przez natychmiastowe zwolnienie ucisku na wszystkich polach i na wszystkich kresach. Ucisk ten bowiem jest jeszcze w większym stopniu dziełem rąk urzędników, zasługujących się rządowi, niż dziełem istniejących praw i przepisów. Nigdzie tak wiele nie zależy od ludzi jak w Rosyi. Wszyscy ci Panowie wietrzą tylko jedno — jaki wiatr wieje z Petersburga. Jeżeli ten wiatr jest ostry, to cała falanga karyerowiczów, co obsiadła nieszczęśliwe kresy, urządza wyścigi w tym kierunku; w razie zaś zmiany wiatru zaczyna się gwałtowne cofanie. Dziś, wobec niepewności, cała ta hałastra przycichła, przyczaiła się

* Zresztą nie brak pogłosek, że car przybędzie na parę dni wcześniej i sam spotka na dworcu kondukt żałobny.

czeka na wskazówki z góry. Dość więc będzie jednego stanowczego kroku u góry w kierunku liberalnym, żeby setki i tysiące czynowników poczuli się od razu urodzonymi liberałami, byle tylko nie opuścić swoich wygodnych posad. Z pism petersburskich jeden tylko znany z zaciekłości przeciwko wszelkim wolnomyślnościom „Grażdanin“ nie zmienił tonu. Owszem, grzmi po dawnemu przeciw zgniłemu Zachodowi i przysięga na wszystko, że w Rosyi obecnie nie ma już ani jednego z tych ludzi z szóstego i siódmego dziesiątka lat, którzy widzieli jedyny ratunek w zaprowadzeniu reprezentacyjnej formy rządu. Te zapewnienia mają być odpowiedzią na radę, której udzielają Rosyi niektóre pisma zagraniczne, aby urządziła kilka parlamentów, jeden dla Polski, drugi dla baltyckich guberni, trzeci dla Małorosyi itd. Ale opinia publiczna oddawna już przywykła nie brać na seryo elukubracyi „Grażdanina“ i wie dobrze, pomimo prześladowań i przeładowania więzień i Syberyi rosyjskimi liberałami, pomimo nawet upodlenia, do którego ćwierćwiekowa reakcya doprowadziła znaczną część dzisiejszego pokolenia, istnieje w Rosyi olbrzymie liczebnie choć bardzo luźne stronnictwo, które czeka reform jak zbawienia i które w razie doznania zawodu w tym względzie może stać się z czasem niebezpiecznem dla rządu. Trudno przypuścić, żeby i młody car nie wiedział o tem. Nawet na pewno można twierdzić, że nie, idzie tylko o to, czy zechce iść z duchem czasu, czy też będzie wolał zmarnować swoje panowanie na bezowocną walkę z tym duchem, który, jak uczą dzieje, zawsze wcześniej czy później zwycięża. Trudno sobie wyobrazić do jakiego stopnia gorączkowo jest nastrojone rosyjskie społeczeństwo. Pytanie, co będzie jutro jest na ustach wszystkich. Chwytają z największą skwapliwością każdy najdrobniejszy rys, każdy symptom, żeby wysnuć jaką taką nadzieję na polepszenie warunków, wśród których światlejsza i czystsza część tutejszego społeczeństwa dotychczas jest zmuszoną wegetować. Petersburscy radykaliści chorują jak dotąd na pessymizm; zbyt ciężkim byłby dla nich zawód, więc wolą nie cieszyć się przedwczesnemi nadziejami. Ale też oni jedni, jak się zdaje, zamykają oczy i uszy na to co się dzieje w stolicy. Wszystkie inne stronnictwa są tak pewne zmian, że nie mówią już o tem, czy będą zmiany, ale o tem, jakie będą. Za jeden z pewnych symptomów można uważać zachowanie się reakcyjnej prasy, która tutaj zwykle dość dobrze bywa informowaną, gdyż redaktorowie i wydawcy zachowawczych pism jako ludzie zostający *in odore sanctitotis* mają łatwiejszy przystęp do oficyalnych sfer, niż wygodowcy pism należących do liberalnego obozu. Otóż reakcyjna prasa w jeden głos krzyczy przeciwko naśladowaniu Zachodu, który jakoby tracił niezmiernie wiele na rzekomym liberalizmie swoich rządów. Mówiłem już o kampanji, którą „Grażdanin“ prowadzi przeciwko parlamentaryzmowi. Dopomaga mu w tej mierze „Świet“, organ petersburskich słowianofilów. Bardziej jednak umiarkowany od swego kolegi „Świet“ zadawalnia się zapewnieniem, że cała Rosya leży u nóg młodego cara i gotowa oddać mu życie i mienie swoje i ich dzieci. Ma to znaczyć, że Rosya jest zadowolona z obecnego stanu rzeczy i nie pragnie żadnych zmian. Ostrożny jednak „Świet“ na pytanie, co będzie jutro, nie odpowiada, jak „Grażdanin“, że będzie to jak wczora, ale mówi, że najlepiej poinformowani ludzie twierdzą, że nic nie wiedzą w tej mierze. Takie przyznanie się do nieświadomości pisma, zwykle tak pewnego siebie, dowodzi, że co najmniej nie może ono zaręczyć, że wszystko zostanie po dawnemu; i to coś warte.

X.

Rewolucya XX wieku.

Henry Lazarus: The English Revolution of the twentieth Century: a prospectiev History with an Introduction.

London 1894. Fischer Unwin.

Umysł ludzki strzelający w przyszłość, kusi się przedrzeć tajemniczą jej zasłonę i wszelkie zakusy w tym kierunku wita z żywym interesem. Na dziejach ludzkości, analogii i znajomości prądów oparte odcyfrowanie jutra zasługuje już dla tego na uwagę, że wskazuje lub wskazać usiłuje dokąd kroczy dzisiejsza cywilizacya. Dziełem niezwykle ciekawem, a podyktowanem li tylko uczuciami humanitarnemi jest świeżo wyszła drukiem: „Rewolucya angielska XXgo wieku, historya prospektywna“ przez Henryka Lazarusa. Autor się dał poznać w Anglii rozprawą o „Wielkiej własności“ (Landlordism) ilustrującą wzrost i rozwój wielkich własności gruntowych kosztem niższych warstw społeczeństwa.

Historya ta jest dziełem o pięciuset stronach, produktem ogromnego nawału pracy, opartą na podstawie własnego wyżej wymienionego traktatu, Carlyle'a „Późniejszych Pamfletach“ i Generała Bootha (głowy Armii Zbawienia) rozprawy p. t. W czeluściach angielskich. Książka dzieli się na trzy części, z których pierwsze zawiera dzieje zburzenia dzisiejszego porządku społecznego, druga zbudowanie nowego porządku, a trzecia apoteozę. Trzy te części rozpadają się na następujące rozdziały, pierwsze na: Założenie partyi rewolucyjnej i przeprowadzenie powstania, druga na: Usprawiedliwienie ruchu i Rozwiązanie problematu socyalnego, Rozdział o „Pracy“ i „Narodzie“, trzecia wreszcie, bardzo krótka, zawiera wskrzeszenie parlamentu i apoteozę przewódzców rewolucyi.

Autor wskazuje co z obecnego systematu państwowego wykorzenić należy, czego dokazać może rezygnacya socyalna, oraz przedstawia mniej lub więcej fikcyjne środki za pomocą których dałoby się ten przewrót uskutecznić.

Fabuła sama jest zbyt nikłą, aby nie ginąć z przed oka czytelnika pod ogromnym nawałem politycznych dysertacyi i proroczych oracyi, któremi autor przeładował książkę. Czytelnik szukający w lekturze czegoś więcej jak rozrywki, będzie nieraz w niepewności, co wypada mu kłaść na karb fikcyi, czyli życzeń historyka, a co uważać za realną prawdę. Przyjęta forma ma wszakże tę dobrą stronę, że jest popularną i co z tego wynika, głębiej jądro rzeczy wypisuje w umyśle czytelnika. Przedewszystkiem zaś przemawia za nią, że teoretyczne kombinacye sprowadzając na drogę namacalnych faktów wzbudza w nas żywy interes dla proletaryatu i gorące dlań współczucie.

Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że głośna ta książka przełożoną będzie niebawem na inne języki, czytelnicy „Przeglądu“ nie będą może mieli ani sposobności, ani czasu bliżej się z treścią jej zapoznać. Zamiast zatem ograniczać się na ogólnych uwagach, pokuszę się o krótkie streszczenie przebiegu „Rewolucyi XXgo wieku“.

Rozdział wstępny.

Pod koniec ery jubileuszowej królowej Wiktoryi żył człowiek będący raczej poetą — marzycielem jak żołnierzem, a wyglądający nie na syna Marsa lecz cierpiącego Chrystusa, imieniem Terence Gray (szary.) W zaraniu życia był on cichym, pokój miłującym malarzem i pisarzem, którego źródłem natchnienia był wstręt do rządzącej światem niesprawiedliwości i brutalności. Miłość jego do bliźnich objawiała się w szczodrobliwości i zapomogach dla biednych dzieci. Maleństwa powzięły przekonanie, utwierdzone w tem przez matki, że Terencyusz jest Chrystusem.

Zdradzony przez swą kochankę porzucił swą pracownią i zmieniwszy nazwisko swe na Black (czarny), poszedł w świat z wielkim bólem

---

HEINZ TOVOTE.

TYLKO MODELKA!

(Tłum **Marya L.**)

Wśród ociężałych snów popołudnia, dochodzi uszu mych łagodny szum Bałtyku — szum ledwie dosłyszalny, cichy jak słodkie marzenie. Zdala widnieje, oblane jasnością słoneczną, wybrzeże. Leżąc na białym, piaszczystym brzegu Rugii, spoglądam i teraz, jak przed laty na niebieskie kołyszące się fale zatoki, którą jakby ramieniem zielony las otoczył.

Wtedy! —

Wtedy nie było jeszcze owych świetnych hoteli, z których rozchodzą się hałaśliwe dźwięki Tannhaeusera i giną w łagodnym szmerze fal morskich, rozbijających się o biały piasek, lub też znikających w gąszczu brunatnych roślin wybrzeża.

Wtedy nie było tu jeszcze rojącej się wszędzie masy ludzi, którzy bądź spacerują wzdłuż brzegu, bądź też spoczywają na piasku — lub gawędzą gromadkami.

Wtedy nie było tu jeszcze tylu pięknych kobiet, których toalety, o wspaniałej grze barw, sprawiają, że nie wiadomo w którą stronę zwrócić spojrzenia.

Wśród tej samotności jednak, znalazła się jedna: nie była olśniewająco piękna, lecz pełna wdzięku, słodyczy, pełna dobroci. Mówiły o tem piękne jej oczy.

Na samotnem wybrzeżu, gdzie teraz most rzucono, gdzie małe łodzie przepełnione ludźmi, ułatwiają komunikacyą z potężnemi parowcami, gdzie wznoszą się wierzyczki dworca, na wierzchołkach których drgają nerwowo niespokojne chorągiewki — tam spoczywaliśmy na piasku — patrząc na marzące, w blaskach słonecznych morze, na bogate w łany przeciwległe wybrzeża, lub też na stromy brzeg lądu stałego, o wijących się milcząco ścieżkach.

Gawędziliśmy o tem, czy możebnem jest kochać kobietę tylko dla idei samej, bez ubocznych myśli, jedynie i wyłącznie dla niej samej? bo miłość to wszak najgorszy z egoizmów ludzkich. Mówiliśmy i o tem, że nie należy miłości rozważać ni badać, bo uczucie, z chwilą w której sobie zeń dokładnie sprawę zdać możemy — nie jest uczuciem prawdziwem, lecz kłamanem.

Na pochyłości piaszczystego wzgórza, pa śród długich, zeschłych traw, które szeleściły z najmniejszym wiatru powiewem, — mówiliśmy samotni o tysiącznych zagadkach serca ludzkiego. Ona znajdowała się wyżej nieco, na szkockim swym szalu wygodnie oparta; zwrócona była ku słońcu, które kryło się powoli za lasem przeciwległego wybrzeża; osłaniająca ją czerwona parasolką z lekka różowiła jej bladą, delikatną twarzyczkę.

Niespokojne fale silnie uderzały o brzeg wyrzucając srebrzystą pianę, która osadzała się na drobnym żwirze.

Pusto było dokoła.

Mała garstka przebywających tu ludzi, rozchodziła się wcześnie do domu; pozostawaliśmy więc sami, gdy słońce zachodziło już zupełnie, a od morza dochodził chłodny powiew.

Od dwu tygodni gawędziliśmy tak codzień godzinkę, o zmierzchu. Byliśmy oboje obcy w tem małem towarzystwie, które się tu nad morzem zebrało, a sąsiadując przy stole, zbliżaliśmy się ku sobie coraz więcej.

Prócz dziewiczej prawdziwie piękności, najwięcej w młodej tej kobiecie czarować musiała owa niezwykła zdolność przystosowywania się rozumnego do drugich, pojmowania przelotnych nawet wrażeń i chwilowych nastrojów,

W samotności umysł szybko dojrzewa; ona zaś wiele była samą, Dzieci nie miała, a mężowi, który jej nie rozumiał, nie dozwalała ni-

w sercu, mówiąc sobie: Natura potrzebuje djabła, a nie człowieka, aby stawić czoło złemu tego świata i ja tym djabłem się stanę“. Zgromadził koło siebie wyrzutków społeczeństwa, ludzi fizycznie i moralnie przybitych cierpieniami rozlicznemi i namaszczywszy ich wzniosłym swym umysłem pełnym dzikiej rozpaczy i bezgranicznego poświęcenia, kazał im złożyć przysięgę na wierność lidze, której zadaniem było:

1mo. Zburzenie gmachu państwowego opartego na pieniędzach.

2do. Wzniesienie gmachu opartego na zasłudze.

3cio, Wymierzenie sprawiedliwości tym, którzy przyczynili się do pognębienia lub ulżenia doli biednych.

4to. Wyswobodzenie z pod ucisku warstw nizkich.

Poplecznicy Terencyusza przyjęli nazwę „psów wojny“ (war-dogs), gdyż żywili się przeważnie psiemi grzankami. Z tych zrozpaczonych rekrutowała się pierwsza grupa rewolucyonistów, których poprowadzić do boju przeznaczonem było innemu większemu dowódzcy.

II. Parlament zrozpaczonych

W liczbie dziesięciu tysięcy „psów wojny“ było wielu wymownych propagatorów idei rewolucyjnej. Metoda tychże wszędzie rozproszonych mówców polegała na zgromadzeniu i przedstawianiu słuchaczom najniżej upadłych jednostek — zmarzłych kobiet i mężczyzn, półnagich dzieci, ciał ludzi głodem zamorzonych. Zebrania te zwano meetingami zgłodniałych, czyli parlamentami zrozpaczonych.

Jeden z mówców wywołał najwyższe oburzenie, gdy zrzuciwszy szał z płatów zszyty z ramion nędzarki zaledwie na nogach mogącej ustać z wycieńczenia i wskazując na nią i dzieci pół nagie u nóg leżące, odezwał się do zgromadzenia:

Patrzcie, bracia, otóż kobieta stworzona na podobieństwo Boga, otóż jej mąż i pięcioro dzieci. Płat ten brudny jest nieomal jedynem jej okryciem. Przypatrzcie się zapadłemu oku, tej piersi zaledwie skórą pociągniętej, temu dziecku z braku pokarmu skonałemu... Siedmioro tych ludzi żyło w ciągu doby, dzieląc się skrawkiem chleba. Otóż mieszkańcy tych ruder o studwudziestu izbach, zamieszkałych przez siedmset istót tak nędznych i zgłodniałych jak ci których zwą lokatorami, — ruder, będących w posiadaniu lorda! Czyliż dusza wasza nie wstrząsa się w swych posadach! Lecz cicho! Zabłyśnie przedświt, bo wkrótce zupełne ogarną nas ciemności“ i t. d.

Tak wzbudzając litość i niezadowolenie w masach, przyspasabiali zrozpaczeni wybuch powstania. Gdyby byli pozostawieni sami sobie, niezawodnie byliby rozpoczęli krwawe rządy odwetu, nie troszcząc się o rozwiązanie problematu socyalnego, lecz na szczęście dostali się pod wpływ człowieka zupełnie innego pokroju, który jako duch nadziei wstąpił między nich i w roku 19.... dokonał zbawiennego przewrotu. Mężem tym był margrabia Dacre.

III. Margrabia Docre*)

Margrabia, pan z panów, właściciel ogromnej fortuny, powróciwszy z dalekich podróży zakupił krzesło w izbie panów i drogą parlamentarną starał polepszyć los proletaryatu. Przyszedłszy atoli do przekonania, że tym sposobem celu nie dopnie, zwrócił swą uwagę na armią Zbawienia.

Cezar nie dowodził wojskiem więcej oddanemu wodzowi jak William Booth, naczelnik Armii, która w walce życiowej mężnie stawiała czoło nędzy, głodowemu morowi i chorobie. Po śmierci tegoż objął dowództwo Booth Secundus**), który wzorowy zaprowadził ład w szeregach swych. Znalazł się pomiędzy tymi oficer, który rozwinął dalej idący i śmielszy program rozwiązania kwestyi nędzy, a imie jego wymawiali żołnierze z czcią i szacunkiem. Margrabia zapisał się na listę Armii jako Carlyle Democritus (bo był entuzyastycznym tego myśliciela wielbicielem), majątek swój przekazując tej instytucyi do dyspozycyi. Wkrótce mianowany został generałem i on to zamienił Armią Zbawienia na Ligę Rewolucyi socyalnej.

IV. Carlyle Democtirus.

Generał Carlyle umysłami żołnierzy zawładnął niepodzielnie, bo nietylko wysokie pochodzenie rzucało nań aureolę, ale czynami swemi nakazywał dla siebie uwielbienie. Mieszkał w przytułkach Armii, brzydził się zbytkiem i poprzysiągł, że dopóki nie zapewni robotnikom „pracę, strawę i domowe ognisko“ będzie wiódł życie jak cierpiąca, upośledzona ludność. Na klęczkach błagał niebiosa:

„Każdego z nas, o Boże, obdarz według jego zasług i miłości bliźniego.“

Prosta, a wymowna modlitwa, ta przenikła tłumy i zacieśniła węzły duchowe tego ciała.

„Psy wojny“ uniesione prądem, skupiły się wkoło szkarłatnego jego krzyża na którym wypisano: „W imię Boga i ludu“.

*) Pohop do kreacyi margrabiego dał autorowi niezawodnie hrabia Rosebery.

**) Autor ma na myśli Karola Booth, syna generała, znanego z pism i działalności humanitarnej.

V. W przededniu rewolucyi.

Dwa lata przed wybuchem rewolucyi lista żołnierzy Armii wykazywała 25 tys. oficerów, dwakroć stotysięcy żołnierzy regularnych i pięć milionów nie-szeregowców. Doktryny Ligi ogłaszano z głównych kwater zwolna tylko zastępom, w łonie nieregularnych żołnierzy wzbudzając niejasną nadzieję „że Armia wystąpi orężnie“.

Wybuch powstania naznaczono na dzień 14 lutego 19...., o czem dowódzców zawiadomiono rozkazami w cyfrach. Przez sześć miesięcy zatrudniano żołnierzy przeważnie patrolowaniem ulic i zbieraniem szczegółowych notatek o mieszkańcach domów. W armii regularnej każdy pułk mieścił w sobie dużo rewolucyjnych umysłów, które z zapałem krzewiły idee swe na własną rękę. Gdy zatem w dniu 13go lutego wydano rozkazy, ludzie ci gotowi na wszystko wezwali niechętnych kolegów do przyłożenia ręki do ostatecznej rozprawy. Że zaś wyszedł sekretny rozkaz przebicia bagnetem każdego małego ducha odszczepieńca przy apelu, a rewolucyoniści uprzedzili o tem kolegów, nie było przeto prawie żadnej secesyi. Pomiędzy policyą posługiwano się tą samą metodą z tym wynikiem, że na 50 tys. konstablerów londyńskich Liga mogła liczyć na dwie trzecie. Przy rozdawaniu broni wręczono powstańcom następującą odezwę z podpisem generała Carlyle:

„Powstańcze; Pamiętaj na swą przysięgę! W imie Boga i ludu“. Aby Boskiej sprawiedliwości erę sprowadzić na świat, Jego cierpiące dzieci opieką otoczyć, wręczamy ci tę broń. Bracie, posługuj się nią godnie lub w ogóle użytku jej zaniechaj. *Nobody.*

(*Dokończenie nastąpi.*)

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Radikalni Listy“, organ czeskiej Omladiny, piszą:

„Ostatni z wielkiego procesu t. z. Omladyny już rozpoczęli — a pierwsi już skończyli pokutę więzienną w niegościnnych i wązkich celach więzienia pilseńskiego. Już nad dwoma zasadzonymi błysła kosa śmierci, a kilku wyszło z więzienia z zarodkiem śmierci, który wynieśli z zatrutej atmosfery więziennej. Lękamy się nietylko o zdrowie fizyczne, ale i duchowe to-

---

gdy wglądać w wnętrze swej duszy. Będąc bardzo wrażliwą, mogła myśleć i mówić tylko pod wpływem jakiegoś nastroju — jak to czyniliśmy, leżąc na piasczystym wzgórzu i spoglądając na zielone morze, które, przy zapadającej nocy coraz ciemniejszą mieniło się barwą.

Wieczorem stawała się więcej szczerą, skłonniejszą do zwierzeń, a zarzucając zwykłą swą trwożliwość, coraz więcej się ośmielała.

Na myśl przychodziła mi wówczas mała łasiczka, którąkilka dni temu napotkałem w lesie. Skryty za krzakiem olszyny, która zrzadka pokrytą była zielonym jeszcze owocem, obserwowałem jak zgrabne to zwierzątko tańcząc i podskakując zwracało ukradkiem, mądre swe oczy ku słońcu. Z niezwykłą zwinnością przelatywało z miejsca na miejsce, znikało nagle w krzakach, by znowu gdzieindziej się pojawić. Czasem i mnie obrzucało przelotnem spojrzeniem, nie dbając zresztą o moją obecność. Podobnie było i z młodą kobietą, która nie lękając się więcej, z szczególnem zbliżała się do mnie zaufaniem.

Było w tem coś dziewiczo wstydliwego, a tak powabnego, że niktby się tego po niej nie spodziewał.

Ja zaś na to właśnie najwięcej byłem wrażliwy, i tak przełamując powoli zapory światowego konwenansu, znaleźliśmy się, jakby po za obrębem szrank towarzyskich — w sferach uczucia.

Mając wiele wolnego czasu, ciągle przebywaliśmy razem; nie omieszkał więc zawiązać się między nami stosunek dziwnie serdeczny, a tak delikatny, że jedna chwilka mogła go zniszczyć i rozerwać, podobnie jak drobną roślinkę najlżejszy powiew złamać potrafi. Był to prześliczny sen, z tą jednak towarzyszącą mu obawą, że jeden fałszywy ton spłoszyć nam może uro cze to marzenie..

— Dokoła blaski słoneczne i cisza...

Patrząc na niebieskawą, gdzieniegdzie tylko piankę pokrytą płaszczyzną wód, obejmując okiem ich niezmierzone obszary — zapominało się o całym świecie, z jego żądaniami, walkami i niedolą...

Była to baśń urocza, sen, z którego nie chciałem być zbudzonym, dlatego też... uciekłem — mimo próśb wszelkich...

Wspomnienienie jednak towarzyszyło mi nieustannie. Porzuciwszy morze, tygodniami wałęsałem się po Szwajcaryi, gdzie samotność wysokich szczytów, wpłynęła na mnie uspakajająco. Często jeszcze i nieprzepartą mocą budziły się we mnie dawne wspomnienia, aż wreszcie wszystko to, co nas kiedyś łączyło, co nas tak do głębi przejmowało — ująłem w słowa i przelałem na papier. Wtedy dopiero przestało fantastycznemi swymi kształtami, jak upiór, niepokoić moją duszę. Byłem wolny, oswobodzony od ciężkiego, skroń mą, jak żelazną obręczą, opasującego bólu, a fala coraz to nowych wydarzeń zatarła doszczętnie pamięć o przeszłości: zapomniała o tem zupełnie. Aż tu, pewnego dnia, ulegając prośbie, przeglądałem moje rękopisy i, niespodzianie natrafiłem na owo opowiadanie; nie wiele myśląc, zrobiłem z niem to, co i z innemi: oddałem je do druku.

* * *

Nadeszła zima, a z nią rozliczne towarzyskie obowiązki; żyło się bez pamięci nieświadomie, jakby w odurzeniu jakiemś. Teatra, koncerty, przyjęcia następowały po sobie; wstawało się zrana z głową ociężałą, by znowu wieczorem w ten sam wir zabaw się rzucić.

Pewnego wieczora, zupełnie niespodzianie spotkaliśmy się, oko w oko. W pierwszej chwili — przestrach obustronny. Chciałem uścisnąć jej rękę, skończyło się jednak na lekkiem głowy skinieniu, na kilku nic nie znaczących frazesach, których dźwięk dla nas tylko nabierał dziwnego zabarwienia. Nasze oczy prowadziły ze sobą niemą rozmowę, porozumiały się... Chodząc po salonie rozmawialiśmy, na pozór bardzo obojętnie, o ostatniej premierze — wtem ona, zdając się nie zważać wcale na moje słowa, spytała mnie nagle, drżącym, cichym głosem:

— I nam się kiedyś zdawało, że się kochamy?

Nie znalazłem na to ni słowa odpowiedzi.

warzyszów naszych. Nasi przyjaciele znajdują się w celach więziennych skazani na samych siebie, w wieku, kiedy człowiek tak pragnie działać, kiedy najwięcej potrzebuje towarzystwa, kiedy gore chęcią rozszerzenia zakresu wiedzy! Naszym towarzyszom niewolno w więzieniu czytać dzieł nietylko socyalistycznych, ale nawet socyologicznych i ekonomicznych, jak n. p. Schäflego. Nie wolno im czytać Zoli,, Maupassanta, ani Komeńskiego „„Historie utrpeni cirkve czeské"". O tem, co ma być ich lekturą, decyduje osoba, nie mająca o nowszych prądach literackich pojęcia, która nie miała nawet czasu czegoś porządnie przeczytać. Osoba tą nie ma kwalifikacyi, ażeby decydować o wyborze pokarmu duchowego dla ludzi, którzy roli swej w życiu narodowo politycznym nie odegrali do końca...

„Naszym przyjaciołom politycznym wolno w więzieniu prenumerować z pism czeskich tylko „„Prażsky Dennik"", „„Veczerni Noviny"".; z innych „„Prager Tageblatt"" i „„Presse"". Nawet „„Politik"" nie znalazła łaski w oczach cenzury więziennej! Cenzura jest tak surową, że zrazu dozwolone „Rozhledy", obecnie zakazano. Tym sposobem więźniom uniemożebniono pracę nad dalszem wykształceniem. Nie wolno im nic pisać, nawet dla siebie bez cenzury. Ale nietylko rozwój duchowy uniemożebniono: więźniowie bywają tak traktowani, że na zdrowiu ponoszą szkodę. Siedzą w celach wilgotnych, nieopatrzonych, a obecnie w porze chłodnej brak im paliwa. Również w jadle poczyniono obostrzenia. Więźniowi politycznemu nie wolno wydać więcej na jadło, jak 20 cent. dziennie, choć ustawa zezwala na sumę czterykroć większą!

Jakiż cel mieć może takie postępowanie nieludzkie...? Czyby dyrekcye naszych więzień sądziły, że postępowanie takie przyczyni się do wytępienia takich ideałów, za które nieszczęśliwi cierpią?..."

* * *

Słowackie *„Narodnie Novine"* piszą:

„Jednym z objawów najsmutniejszych w naszem życiu narodowem jest fakt, że wśród duchowieństwa katolickiego renegactwo szerzy się w sposób zastraszający. O ile duchowni protestanccy, tak młodsza jak i starsza generacya trzymają się coraz to silniej tradycyi dawnych i są prawdziwymi ojcami ludu słowackiego, przewodząc mu w ciężkiej walce o ideały narodowe, o tyle z placu boju ustępuje duchowieństwo katolickie, zaprzedając się duszą i ciałem Madziarom.

„Zwłaszcza pomiędzy młodszą generacyą duchowieństwa katolickiego rozpanoszyło się renegactwo na dobre. Mamy jeszcze po wsiach i miastach pasterzy przywiązanych do ludu słowackiego, rozumiejących jego potrzeby narodowe, ale wszędzie już, gdzie tylko parafia większa, gdzie się znajduje wikaryusz lub kapelan neutralizuje on wpływ proboszcza, jest złym duchem ludu słowackiego, denuncyatorem swego przełożonego przed władzą.

„Choć w ostatnich czasach mogli się byli katolicy madziarscy przekonać, że rząd liberalny godzi w Kościół, że żydzi zasiadający na fotelach ministeryalnych w Budapeszcie zarówno dla narodowości słowackiej, jak i katolicyzmu wrogo są usposobieni, mimo to wszystko, duchowieństwo katolickie służy dalej za narzędzie madziarskie.

„Młodzi duchowni nie czytają wcale pism słowackich, nie znają rozwijającej się pięknie literatury naszej; dawnych pisarzy, prozaików i poetów, których dostarczało nam duchowieństwo, mieć już nie będziemy, gdyż dzisiejsza generacya tylko po madziarsku czuje i pisze".

* * *

„Slovenski Narod", organ partyi młodosłowińskiej, wychodzący w Lublanie, pisze:

„W tych dniach odbywały się wybory uzupełniające w Polju do sejmu krajowego w Istryi... Jakież zdumienie ogarnęło mieszkańców powiatu, kiedy dostali do rąk swych odezwę w której Włosi naszych kmieci zwabiają na zebranie przedwyborcze.

„„Predragi (najdroższi) prijatelji na naszem Polju"", taki był nagłówek odezwy, pod którą spotkaliśmy się z nazwiskami naszych Italianissimów, należących dawniej do smutnej pamięci „„Irridenty""! Odezwa napisaną była w języku słowińskim poprawnie. Jakaż to zmiana w zapatrywaniach owych panów, którzy jeszcze przed laty 15 sądzili, że Polje jest miastem czysto włoskiem!

„Minęło już lat kilka, odkąd Włochów Słowińcy zwyciężyli w połączeniu z Chorwatami i zdobyli w sejmie większość. Włosi zostali tak sromotnie porażeni, że od razu zrezygnowali z akcyi zaczepnej, ograniczając się na opozycyi biernej. Ze zadziwieniem pytamy się, skądże te nowe zakusy o wytrącenie nam zwycięstwa, którego widoków Włosi mieć nie mogą? Otóż na pytanie to można odpowiedzieć mając w pamięci dzisiejszą koalicyą rządową w Wiedniu. Włosi tutejsi zrzekli się irridenty, stali się na pozór austrofilami i jako tacy spodziewają się pomocy rządu, panów komisarzów i starostów, aby za ich wstawieniem się zdobyć znowu to, co utracili.

Największe nadzieje pokładają obecnie w nowym prezydencie, panu Schwarz, który przedsięwziął sobie zaprowadzić w Istryi dawny porządek t. j. Chorwatów i Słowinców pozbawić wpływu, który sobie zdobyli.

„Pytamy się, czy istotnie interes państwa austryackiego wymaga, aby Włosi odzyskali, co nieprawnie posiadali, czy państwo na tem zyskać może, gdy przyjdą do władzy ludzie, których sympatye skierowane są ku tamtym brzegom Adryatyku? Czy Chorwaci i Słowincy nie dali tylokrotnie dowodu swego patryotyzmu austryackiego, czy rząd więcej może ufać Włochom, czy ludności słowiańskiej? Mamy znowu świeży przykład zaciekłości germańskiej przeciw wszystkiemu, co słowiańskie. Ze szkodą państwa, byle szkodził Słowianom, oto hasło nowego rządu koalicyjnego, którego reprezentantem jest pan Schwarz.

W świeżej pamięci są nam środki godziwe i niegodziwe, jakich dawniej używali Włosi dla przeprowadzenia swego kandydata. Czy przy nastających wyborach czasy te mają wrócić? Czy pan Schwarz wyda podwładnym swoim rozkazy bezwzględnego zwalczania kandydatury słowiańskiej?

Jakąż odpowiedzialność bierze na siebie rząd, posyłając nam ludzi tego rodzaju, którzy tak mało mają zrozumienia dla najistotniejszych interesów Austryi."

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Fazy twórczości Asnyka.

(Ciąg dalszy.)

W „Ascecie" przepysznie maluje to zatonięcie w ekstazie religijnej, właściwe duszom gorącym i namiętnym, które szukają ukojenia w modlitwie i wizyach mistycznych.

W Tobie o Panie, zamknąłem życie;
Ku tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkiemi
I wciąż katuje wzgardzone ciało,

W salonie tańczono bez przerwy; staliśmy w sąsiednim pokoju, u okna, przez które widać było płatki padającego śniegu. Koło nas przechodzono ciągle; jakby o najobojętniejszym przedmiocie, tylko oczy nadawały jej słowom właściwe ich znaczenie, mówiła w drwiącym tonie:

— Niedawno temu, czytałam jednę z pańskich nowel: zachwycająca Panie! Jest to... jakaś historya kąpielowa, żywo mi przypominająca nasz wspólny pobyt nad morzem, przeszłego lata. Pan sobie przypomina może? W noweli tej słyszy się prawie szum i hałas morza, a potem... wypowiada się w niej tajemnice, o których jak sądziłem, wiedzą tylko fale morskie i że to wszystko w głębi wód pogrzebane spoczywa. Mówiła to wszystko tonem lekkiej ironii, którym dręczyła mnie do żywego, byłem wobec niej zupełnie bezbronny. Upokarzała mnie, zdając się nie wiedzieć o tem; aż wreszcie nie mogąc dłużej znieść tego, prosiłem ją by przestała być tak okrutną.

Spojrzała na mnie przeciągłym pytającym wzrokiem i rzekła zwolna, smutnie:

— Jeśli czyje postępowanie było okrutne, to tylko Twoje, mój przyjacielu; zepsułeś mi, dziecinne może, ale miłe wspomnienie. Sądziłam, że i dla Was są rzeczy o których mówić nie można, uczucia, których nie ma odwagi rozbierać, nastroje zbyt czyste, by je profanować! Że są rzeczy, które nawet dla nowoczesnego artysty — posługującego się życiem — są święte i nienaruszalne! Było to złudzenie...

— Łaskawa Pani, proszę, zaklinam Panią! przerwałem jej...

Daj Pan pokój, nie robię mu przecież wyrzutów... mogłabym je czynić chyba sobie samej. Im człowiek sceptyczniej myśli w pewnych sprawach, tem łatwowierniejszym jest w innych. Nie żałuję że kyłam tak pełną zaufania. — Mało bardzo mam miłych wspomnień w mem życiu, to też zawsze myśl ta boleć mnie będzie, że właśnie niegdyś ukochana ręka, tak okrutnie rozwiała mi tę uroczą iluzyą!

Umilkła... a ja nie odważyłem się przerwać milczenia bo upokorzenie, którem mnie karała, leżało raczej w jej postawie, w wyrazie twarzy — niż w słowach, które wypowiadała. Rozczarowanie połączone z rezygnacyą nadawało jej cechę zupełnego zobojętnienia.

Przyjąłem wszystko z pokorą, czując, że na to zasłużyłem. Oddając wówczas te zapiski do druku, nie zastanawiałem się nad tem co czynię. Teraz dopiero pojąłem, że tych kilka dni, spędzonych razem, było dla niej czemś zupełnie innem niż dla mnie... Ale już było zapóźno... A wiedziałem o tem że nic nie rani głębiej jak te mimowolne, nieświadome krzywdy, dla tego właśnie, że zadający je, nie wie nawet jak dalece jego postępowanie dotkliwem być może.

Nie było na to żadnego usprawiedliwienia. Utwierdzała się więc coraz więcej w przekonaniu, że widziałem w niej tylko modelkę; a nie miałem żadnego argumentu, by ją z mniemniemania tego wywieść. Tak więc, rozstaliśmy się bez uściśnienia dłoni, bez słowa przebaczenia — i gdy los sprowadził nas znowu — byliśmy już dla siebie obcy.

* * *

I znowu błąkam się na piasczystym brzegu Rugii i spoglądam na równe ciche morze, którego gładką powierzchnię prują teraz dwie małe łodzie i zbliżający się duży parowiec, niecierpliwie oczekiwany przez tłoczące się na miejscu przybycia — tłumy.

Wszystko się tu zmieniło: gdzie spojrzeć wesołość, śmiechy i uciecha, które i mnie się udzielają. Dziś jednak uciekam od ludzi daleko, gdzie nie dochodzą już dźwięki muzyki, gdzie tylko od czasu do czasu krzyk, uganiającej się za połowem, mewy przerywa ciszę. Rzucam się na rozpalony piasek, oczekuję zachodu słońca, by odświeżyć w pamięci mej dawne czasy i pomyśleć o tej dziwnej, nierozwiązalnej zagadce, zwanej sercem ludzkiem.

I smutno mi, gdy pomyślę, jak to sztuka opanowała naturę i jak wszystko swoim celom podporządkować potrafi. Artysta zaś, przede-

Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą,
A zostać obcym tej ziemi.

. . . .

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie...

. . . .

Czasami tylko bólem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany
W nowe przedzierzga się życie;
I do Twych niebios biegnie promienny,
W apoteozie rozlać się sennej,
A ja umieram w zachwycie...

Atoli z tych krain ekstatycznych ściąga ascetę jakaś ziemska słabość lub ziemskie wspomnienie. Raz będzie to przewaga ciała nad duszą, to myśl o utraconej kochance, to wreszcie widok klęsk, jakie ponosi sprawiedliwy na ziemi, gdy zły i przewrotny nad nim tryumfuje: — podobnie jak Dawid w psalmach:

Bezpłodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?

. . . .

Gdzież jesteś, Panie? z oczów Cię tracę,
I niebo Twoje przepada!

Chociaż „Aszera“, bezpośrednio po „Ascecie“ napisana, przedstawia jaskrawe z nim przeciwieństwo, bo w całej świetności urok życia zmysłowego maluje, ostatecznie jednak zasadniczą swą myślą łączy się ściśle z całym szeregiem utworów poprzednich. Aszera, jak wiadomo, była to hebrajska nazwa babilońsko-asyryjskiej Istary, bogini płodności. Poeta nasz wystawia jej narzekania na wyziębienie namiętności w świecie dzisiejszym, w którym zimne tłumy „zmysłową żądzą jasną, zapaloną w ust purpurze“ topią „w melancholii chmurze“, lub przelewają w „szum natchnień“, tak, że „smutnie dymią ciał ogniska, a nie dają ciepła już“. „Smutna jesień“ namiętności traci „życiodajne ognie“, a w „opóźnionych pulsach świata erotyczna boska władza ledwie ciągnie dalszy byt“. Więc bogini powołuje lud do czci swojej, pragnie rzucić nań „błysk zmysłowy“, by „dzisiejszą łez opiłość w wulkaniczną zmienić miłość“ i wydać znów na świat silne pokolenie mężów, którzy nie płaczem, ale czynem zasłyną.

Obok tego przeciwstawienia potęgi miłości zmysłowej zdenerwowaniu świata dzisiejszego, Asnyk rozpatrując się w arcydziełach sztuki greckiej, zgromadzonych we Włoszech, przeciwstawił także namiętnym targaniom się doby obecnej wiecznotrwały spokój artyzmu, nie dla tego wszelako, iżby w kontemplacyi jego zatonąć, lecz ażeby wnieść do chmurnych i burzliwych dusz choćby promyczek pogody. W poemaciku „Odłamowi Psychy Praksytolesa“, napisanym 7 grudnia 1864 r. prześliczną a oryginalną zwrotką siodmiowierszową, taką właśnie myśl przeprowadzić się starał. Widząc w „Psysze“ odbicie „tej duszy świata, co senna przez wieki, dziewiczych natchnień odblaskom się dziwi, przed żywszem światłem zamyka powieki, zanim ją zbudzi kochanek daleki“ — maluje z uwielbienieniem uidealizowany obraz cywilizacyi greckiej, „gdzie życie zlało w poematu całość: szlachetny kontur z ciepłem namiętności, a siła miękką podnosząc omdlałość, rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość“. Temu „nadziemską pogodą, jaśniejącemu obrazowi przeciwstawia niespokojny, tłumny, wrzawliwy a bolesny pochód późniejszej ludzkości. Wprawdzie z Golgoty wybuchnęło „boskim płomieniem“ królestwo ducha, lecz zawisło ono „w dalekich niebiosach“, a na ziemi: „tęcze pogasły w dzikich zawieruchach, harmonią stłumił tętent barbarzyńców“, myśl zaś swobodna stanęła pod pręgierzem; „ludzkość kroczy wciąż przez krwawe rosy i wciąż od celu swojego daleka“, napróżno poszukując drogi szczęścia, gdyż nic znaleźć nie może — „nawet Boga“. Przodownicy myśli ginęli i giną, nie wiedząc przy śmierci, „czy prawda, której zatknęli sztandary, z niemi w niepamięć wieczną nie zatonie, próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie“. Wschodzące mary ledwie zejdą — zbledną, nigdy się w ciała oblec nie są zdolne.“ Poeta wyraża jednak nadzieję, że dobre natchnienia nie zmarnieją przecie „i pójdą dalej w niewstrzymanym pędzie, aż p r a w d a ziemskie królestwo posiędzie“. Psyche ziemska, „dziś tak milcząca“, zmuszona skrzydłami swemi potrącać o krwawe kałuże, „zbudzi się wreszcie w gwiazd niebieskich wianku i jak te lilie, śpiące w wód lazurze, wypłynie wichry uciszyć i burze“. Uciszenia atoli burz i wichrów nie spodziewa się doczekać sam poeta, więc też zwracając się w końcu do Psychy Praksytelesa, w tęsknej zadumie prosi ją, by tak samo jak od wieków patrzy na mijające pokolenia ludzkie, spojrzała też i na jego mogiłę,

Kamienna siostro! czekaj w i e k ó w c h w i l ę
I świeć nadziemskiej pogody odbiciem;
Mirty zakwitną, powrócą motyle,
Miłość ci przyjdzie zwiastować o wiośnie;
Tymczasem stój tu nad grobowców gniciem
I spojrzyj także z wysoka, litośnie,
Gdy trawa nasze mogiły porośnie!

Jak widzimy, szukał poeta na dojmujący smutek, nie z osobistych wynikły okoliczności, lecz z rozważania zagadki losu człowieczeństwa, rozmaitych środków ukojenia, to pragnąc pozyskać spokój wśród pięknych, łagodnych widoków przyrody włoskiej, to zastanawiając się nad dziejami, to próbując zatonąć w ekstazie religijnej, to podziwiając doskonałość sztuki nieśmiertelnej, to starając się pobudzić do bujnego życia zmysłowego, to w ruchu gorączkowym szukając zbawienia. Czy znalazł poszukiwane i upragnione rozwiązanie dręczącej go zagadki? Czy znalazł ukojenie? Opierając swój wywód na treści i tonie utworów — a na czem innem oprzeć się obecnie nie możemy — musimy dać odpowiedź przeczącą. Samo owo zwracanie się w różne strony, w różne dziedziny uczuć i myśli dowodzi ustawicznych wahań w duszy poety, który z niepokojem w sercu i głowie sam przed sobą przyznać się nie może, iżby wiedział jasno i stanowczo, jaką obrać drogę, by ludzkość mogła dojść do mety szczęśliwej, przez wszystkich pożądanej. Zaledwie w dalekiej przyszłości przewidywał mglisto, że „prawda ziemskie królestwo posiędzie“ i że Psyche ziemska uciszy kiedyś „wichry i burze“, ale taka odległa i ogólnikowa nadzieja zaspokoić go oczywiście nie zdołała.

Atoli jeśli się nie dało odnaleść drogi w sposób twierdzący, to może przynajmniej w sposób przeczący będzie można określić, co dla rozwoju społeczeństw jest niepożądanem, czego unikać potrzeba. Zdaje się, że podobny proces myślenia odbyć się musiał w duszy Asnyka, gdy powziął zamiar napisania poematu p. t. „Sen grobów“. Był on prawdopodobnie na większą pomyślany skalę, miał zawrzeć cały szereg obrazów, nasuniętych rozpamiętywaniem przeszłości, ale poeta, z usposobienia liryk, rychło się znużył snuciem pomysłów, które z natury swej epiczny miały charakter. Mamy tedy trzy tylko części „Sny grobów“, luźnie ze sobą związane, powstałe nie od razu, lecz w pewnych odstępach czasu. Pierwsza część napisana była w Neapolu 7 stycznia 1865 roku, druga 7 lutego, a trzecia, nosząca obecnie nazwę „Epilogu“ dopiero w połowie roku 1867. Nastrój i formę wierszową wziął nasz poeta od Dantego, w Komedyi Boskiej którego rozczytywał się z lubością we Włoszech, a nawet jedną pieśń przetłomaczył przepysznemi tercynami.

Poeta dostaje się „w posępną nocy krainę“, gdzie „zamarłej pustyni milczenie“ zdało się w nim łamać prawa życia; czuł się on tutaj upiorem, „myślą pogrobową skonań“, a wkoło niego „nic — jedno, wielkie, uroczyste, co się nie błyska nawet i nie chmurzy“. Z utęsknieniem przypominał sobie naówczas te chwile uroczе, „gdy tęcze grały nad życia obłokiem“, gdy

---

wszystkiem artystą jest i pozostanie, potem dopiero człowiekiem współczującym jak każden inny...

A uderzające o brzeg fale, szepczą mi ciągle, drażniąco i szydersko, jakby cichą skargą, te słowa:

— Tylko modelka!... tylko modelka!...

* * *

Powinna była zastanowić się i wiedzieć, że artysta nic nad sztukę wyżej nie ceni, że gotów jest wszystko jej złożyć w ofierze: życie swoje i szczęście; i krwi serdecznej utoczyć — nie zadrgnąwszy nawet! Że ofiary te bez namysłu ponosi i na jej ołtarzu składa...

Nad oddalonym brzegiem Szkocyi błąka się ona teraz; chciałbym, by niespokojne, pieniące się fale oceanu, śpiewały jej wśród burzy: „Tylko artysta!... tylko artysta!... tak jak małe drażniące fale Bałtyku, prześladują mnie nieustannie, swym szyderskim szeptem, który jest kłamstwem, a zarazem tyle smutnej mieści w sobie prawdy!... „Tylko modelka!... tylko modelka!...

Z pamiętnika Heleny Massalskiej.

Pisząc swój pensyonarski pamiętnik, nie przypuszczała zapewne młodziutka Helena Massalska, że przeszło sto lat później niejedno oko niedyskretne, ciekawie przejrzy jej dziecięce zapiski i że w nich odnajdzie niejeden rys, charakteryzujący czasy przedrewolucyjnej Francyi.

Helena Massalska spędziła młodość swą w klasztorze Abbaye-au-Bois, gdzie kształciły się same tylko przedstawicielki znakomitych rodzin francuzkich. Również i zakonnice nosiły arystokratyczne nazwiska. — Sam już klasztor — wspaniały, rozległy pełen drogocennych pamiątek, robił wrażenie pańskiej rezydencyi — posiadał bogatą bibliotekę, składającą się z szesnastu tysięcy różnych dzieł i obrazy — prawdziwe arcydzieła mistrzów pędzla. A jak tam było gwarnie i wesoło! W cienistym ogrodzie, kędy królowały odwieczne kasztany i zawsze pięły się szpalery grabowe, znajdowała się sala teatralna w której pierwszorzędni artyści z opery i Comédie Française udzielali pannom lekcyi tańca i deklamacyi. Odbywały się tedy ochocze zabawy i częste przedstawienia. Gdy razu pewnego Helena Massalska występowała w roli Estery, — na jej bogatej szacie błyszczały drogie kamienie w wartości stu tysięcy talarów. — W poważnych alejach snuły się ciągle eleganckie sylwetki dam wielkiego świata, których upudrowane, wysokie fryzury i fantastyczne tuniki, napotyka się na obrazach Watteau'a i Lancret'a.

Codziennie dwie godziny, wyznaczano na rachunki, katechizm, geografią i historyą, a resztę czasu poświęcano naukom tańca, rysunków, gry na klawikordzie lub też na harfie. Otóż cały program nauki! O algebrze, chemii, fizyce, zoologii — mowy tam nie było. Wszystkie święta kościelne obchodzono uroczyście i na zawołanie dawano śniadania z „lodami“.

W tych warunkach, wychowanki klasztoru Abbaye-au-Bois żyły i swobodne butne i zaczepne, hałaśliwe i gwałtowne, jak ich dziadowie, starzy frankońscy bojownicy; w kółku widocznie przebijała się siła i duma rycerskich przodków, nawet w tej epoce upadku szlachty. Są one zadziwiająco energiczne i zaczepne, pomiędzy sobą staczają bitwy i nawzajem wymierzają sobie kary. Razu pewnego Helenę Massalską za „zażalenie się“ ukarały koleżanki w sposób barbarzyński. Otóż podłożyły jej nogę, tak, że się potknęła i upadła, a następnie deptały ją i ko-

w niemowlęcej "świętości" poił się czystemi wrażeniami, jakich mu dostarczało otoczenie:

Gaje i chaty! jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole!
I na rozstajnych drogach, wśród urwiska
Omszone krzyże w cierniach! was pacholę
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureolę.
O lilio czystych krynic! o gołąbku
Opróżnionego gniazda! drzewko krasne,
Wieńczone krwawą jagodą jarząbku!
Widzieć cię jeszcze nim na wieki zasnę,
Ach, dozwoliły mi anioły złote
I pod twe stopy rzucić serce własne.

A potem przyszły wspomnienia lat młodzieńczych, poeta ujrzał znowu przed oczyma duszy „wzniosły i święty orszak duchów“ sobie znajomych, co pragnieniem ideału żyły i poświęca im słowa czci i uwielbienia. Wtem otacza go chmura ciemniejsza od innych, a z niej wyłania się „anioł przeznaczeń“ — „jak płomień jasny, a jak marmur twardy, nieugiętością zbrojny, nie puklerzem“ i spogląda na poetę ze spokojną „pogardą“, a odgadując chęci zbłąkanego wśród nocy i pustki wędrowca, wypowiada swój pogląd na sprawę społeczeństw. Jest on nieubłaganym dla wszystkich objawów życia tchnących łzawą miękkością, zadowoleniem z połowicznego istnienia, apatyą, rozpacznem zapatrzeniem się w przeszłość:

Bo kto do tyla duszę swą zuboży,
Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
I dobrowolnie w prochach się położy,
Jak samobójca pierś splamiwszy smętną —
Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel
I nawet pamięć jego będzie wstrętną,

. . . .

Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni,
I zerwij dawną z grobami zażyłość
I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
Aby cię znowu nie zbłąkała miłość.
To, co upadło, musi w rdzy się strawić
I pod martwości szatą taić skrycie —
Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić —
Nienadwątlone niczem nowe życie,
Któremu niańczy grób ten jak kołyska,
Nim niemowlęce odrzuci spowicie
I rzeczywistą siłę lotu zyska.

Dalekim tu jest jeszcze Asnyk od sformułowanego przez siebie później prawa logiki dziejowej; wiele wyrażeń w przemowie „anioła przeznaczeń“ ma cechę niejasną i mętną; bądź co bądź jednak wypływa z niej jedna prawda wyraźna, że zużyte ideały przeszłości nie mogą i nie powinny być ideałami teraźniejszości i przyszłości.

Pod przewodnictwem tego anioła odbywa swą dalszą wędrówkę poeta w drugiej części „Snu grobów“. Dwie tu tylko właściwie są sceny. W jednej pod postacią gołębi, co chciwie z czarnych strumieni piły gorycz upajającą na śmierć i w proch się zmieniły, przedstawione zostały dusze czyste i ofiarne, goniące za poświęceniem i sławą, chciwie wysączające napój boleści. Anioł przeznaczeń charakteryzuje byt dusz takich, jako jeden ciąg „pragnień i niemocy“, co „błyszczy się chwilę i ginie bez cześci“. Poeta ze swej strony żadnego o nich sądu nie wypowiada. Druga scena, umieszczona fantastycznie na najwyższej iglicy góry lodowej, daje nam poznać Juliusza Słowackiego, „wielkiego potępieńca, co deptał światów zwyczajne porządki“, jaśniejącego jak niebem gardzące wyjątki“, w otoczeniu stworzonych przezeń postaci Rozy, Lilli Wenedy i rycerza z Anhellego. Gdy poeta wahał się pomiędzy czcią dla „chmurnej postaci mistrza“, a nauką anioła przeznaczeń, nagle na dźwięk piorunowy harfy odzywający się z owej iglicy, z grobowych kryjówek wydobywać się zaczęły szkielety bez rąk i bez głów, i „gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą, jako upiorów hufce bezorężne“ biegły „obydne“ za nikczemnym zgonem“. Wówczas otwarły się wszystkie groby, a zastęp bohaterów dawnych z pogardą przypatrywał się tym „bezgłownym karłom“. Ale poeta nietylko tym „wpółsennym, lichym, niedołężnym“ marom, poruszonym dźwiękami harfy „wielkiego potępieńca“, rzuca wyrok zniszczenia; on uogólnia swój pesymistyczny pogląd i w całej ludzkości widzi „zapleśniałe serce“ kończy zaś swą pieśń zapowiedzią, że w długim szeregu zatraceń „od legendowych rajów Eufratu“ „wśród ciągłych bojów i oczyszczeń“ ma kiedyś spłynąć „anielska ojczyzna wszech ludów z rozbitej dziś kolebki cudów“. Na wyrażeniu tej ogólnikowej nadziei, tak samo jak w „Odłamie Psychy Praksytelesa“ poprzestał poeta, zapominając nawet, że wprowadzona przezeń postać anioła przeznaczeń powinnaby była coś ze swej strony wypowiedzieć, a choćby tylko te nauki, jakich udzieliła w pierwszej części, ukazać w zastósowaniu do sceny, która najwięcej miejsca zajmuje w części drugiej.

Piotr Chmielowski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Po tym doktynerskim wstępie nie jest znów wstanie oprzeć się p. Koźmian stwierdzeniu prawdy, obalającej doktrynerstwo. „Rzecz niepojęta — pisze., tajny Rząd Narodowy istniał w Warszawie obok władz rosyjskich zarządzał wojną, która była tylko demonstracyą zbrojną, a po części i krajem, miał skarb i pobierał podatki, zawięzywał i utrzymywał stosunki z zagranicą, miał swoję policyą i swoją żandarmerję, swoją pocztę, organa i dzienniki urzędowe i półurzędowe, wychodzące z tajnych drukarń i dostające ostrzeżenia, a nigdy i przed nikim nie był odpowiedzialnym, przez nikogo znanym, był sam w sobie zmiennym i podległym przewrotom wewnętrznym. A przecież mało kto nie uległ jego władzy lub jego teroryzmowi: odkryć go i zniweczyć przez dwa do trzech lat rząd rosyjski nie zdołał, i w końcu wszyscy z nim się liczyli i ci, co mu służyli i weń wierzyli i ci co go potępiali, nawet zagranica i rządy regularne i to tak dalece, że przez wzgląd na te rządy ludzie, o których tu mówię, w przekonaniu, że wymaga tego dobro sprawy i że zwiększy to warunki jej powodzenia i obcej pomocy, weszli z nim w stosunki, i jeżeli nie całkiem poddali mu się i uznali jego prawowitość, to uznali przecież jego chwilową konieczność.

...Organizacyi i jej kółek nie znałem i dotąd nie znam; ale niezawodnie musiała być doskonale obmyślaną i urządzoną, aby w przeciągu paru lat wciągnąć tak znaczny zastęp ludzi, nakłonić ich do posłuszeństwa, nauczyć karności i poprowadzić do demonstracyi i powstania, narzucić się krajowi, a to wszystko pod okiem absolutnej i policyjnej władzy rosyjskiej. Lepszym jeszcze dowodem doskonałości organizacyi spiskowej, jest istnienie, działanie i trwanie, oraz odnawianie się w stolicy kraju, centralnej władzy spisku nazwanej *Rządem Narodowym*, działanie i trwanie, pomimo zmian w jej łonie, i stwierdzanie się jej jawne i głośne.“

Widzimy więc jasno jak p. Koźmian szamota się w walce miedzy doktryną, a zaznaczeniem faktów kłam jej zadających. Raz Rząd Narodowy był „fikcyą“, drugi raz był „jedynie możliwym“ — oraz był, „anomalią“, to znowu chwilową „koniecznością“. Gdyby p. Koźmian nie stał z nim w żadnych stosunkach, łatwiej by mu przyszło zachować sąd stanowczy, a nie chwiejny. Ale chcąc wytłomaczyć swoje postę-

---

pały póty, dopóki nie zaspokoiły swej żądzy zemsty. — Zdarzało się często, że starsze uczennice zbiły młodsze swe koleżanki na kwaśne jabłko, a te ostatnie szukały sposobu przełożenia swej krzywdy w darciu lub też w rzucaniu do studni książek i zeszytów swych gnębicielek.

Razu pewnego wszystkie pensyonarki z wyjątkiem kilku mniej odważnych zbuntowały się po prostu dla tego — że im nauczycielka nie przypadła do gustu. Otóż obległy one kuchnie, obozowały w nich dwa dni i noc jedną, a w końcu przez parlamentarzy stawiały warunki przełożonej, pani de Rocheaourt. A dama ta wielkiego świata, pobłażliwem okiem patrzy na te oznaki dumy i gwałtowności. i do jednej z uczennic, która nie brała udziału w tym tańcu, odzywa się ironicznie: „A jest czego winszować“. Bo, wszakże pani de Rocheouart wie i czuje, że i w jej żyłach płynie krew panów feodalnych. — Uczennice klasztoru Abbaye-au-Bois, niczem się nie krępują, są zupełnie swobodne i ich dziecięce główki gubią się w najrozmaitszych psotnych pomysłach. — Przez małe okienko rozmawiają z kuchcikiem z sąsiedniego pałacu i każą mu grywać na flecie, — to znowu kropielnicę napełniają atramentem, żeby powracające z modlitw wieczornych zakonnice pomazały sobie twarze, i t. p. trzymają się im figle. I wszystko im uchodzi bezkarnie, chociaż ten ostatni wyskok wesołości pani de Rocheouart napiętnowała mianem „czarnego postępku“.

Lecz dobrze robią żwawe dzieweczki, że śmieją się i bawią — niebawem nadejdzie czas ofiar i poświęceń. Wychowanki arystokratycznego klasztoru, te wybranki losu, używają wszystkich tych przyjemności, jakie dać może znakomite nazwisko i bogactwo — mają wreszcie i to wewnętrzne zadowolenie jakie im daje przeświadczenie, że są z innej ulepione gliny, niż ich rówienniczki — mieszczanki z sąsiedniego klasztoru. Ale jakimże to kosztem okupione są wszystkie te korzyści i przywileje! Wychowanki Abbaye-au-Bois nie zaznały nigdy ani pieszczoty, ani życia rodzinnego. Ojcowie ich zawsze po za domem, matki wyłącznie zajęte życiem światowem — pozostała im więc tylko jedna wielka rodzina — kasta, z której pochodzą. I dla ocalenia honoru właśnie tej kasty, wyrzec sie im trzeba wszystkiego, — tej pieszczoty, tego ciepła rodzinnego, nawet i miłości. — Dwunastoletnia panna de Bourbonne posłuszna rozkazowi, poślubia starca p. d'Avaux. Po dokonanym akcie małżeńskim biedaczka powraca do klasztoru i zalewa się gorzkiemi łzami, ile razy sędziwy małżonek wzywa ją do rozmównicy. O, biedne te serduszka! Trzymane w krępujących więzach, muszą je zerwać później, by odetchnąć swobodnie? Ale jeszcze inna droga wiedzie do ofiary. Młodziutkie te istoty nie mające najmniejszego powołania, zmuszone są zamknąć się na całe życie w celi klasztornej, dla tego — żeby najstarsze z rodzeństwa zachowało lub po-

większyło blask, jaki otacza nazwisko jego. — Pani de Rocheouart taka na pozór wesoła i swobodna, zalewa się nieraz gorzkiemi łzami i pisuje całemi godzinami, żeby rozerwać swój umysł. Panna de Rastignae, piękna i młoda składać musi śluby zakonne. W chwili, gdy pod okrutnemi nożycami spadają jej długie jasne włosy, wszystkie pensyonarki chórem zawołały: „jakaż szkoda!“ Następnie biedna ofiara wymawia słowa przysięgi — z początku waha się, rozgląda na wszystkie strony, spodziewając się może jeszcze ratunku, a gdy przełożona zbliża się do niej i nakazuje „z męstwem spełnić ofiarę“, wówczas kończy ostatnie przerwane przysięgi — skłania głowę na ramiona przełożonej . . . . biedaczka zemdlała, wyniesiono ją do zakrystyi. — Ileż więc bolesnych dramatów rozgrywa się w tym wesołym i gwarnym klasztorze, gdzie większa część zakonnic jest okrutną ofiarą swego nazwiska!

Klasztor Abbaye-au-Bois, służy więcej królowi niż Bogu. Jakież tam było fałszywe zrozumienie religii! Jakże mało logiki w jej nauczaniu! Tam nie uczono pokory, gdyż same zakonnice jej nie znały. Gdy n. p. arcybiskup paryski położył pieczęcie na bibliotece klasztornej, ponieważ zawierała kilka dzieł jasnenistowskich — zakonnice bez najmniejszych skrupułów rozkazują łamać pieczęcie dwom wizytatorom klasztoru — a arcybiskup pokornie za czyn swój przeprosił.

powanie, a uratować jednocześnie doktrynę, wpada wciąż w same sprzeczności. Pozostawmy go jednak pomiędzy Scyllą i Charybdą, a posuńmy się dalej.

Nie będziemy się zatrzymywali nad sprawą wyroków śmierci, wydawanych przez Rząd Narodowy, ani nad zbójstwami popełnionemi w Galicyi. Ażeby tę rzecz osądzić potrzeba sporego materyału, którego ani jesteśmy w stanie zebrać, ani też nam nie dostarcza go pan Koźmian. Sam on zresztą nie wie. skąd morderstwa pochodziły, „czy od ukrytych chwilowo lokalnych żywiołów spiskowych, czy też od warszawskiego Rządu Narodowego“. Przyznaje też, iż Rząd ten tłomaczył się, przyznaje i to, że istotnie morderstwa wykonywane były nieraz bez wiedzy Rządu. Istniejącą w Krakowie organizacyą terorystyczną rozwiązał dekretem naczelnik miasta Alfred Szczepanowski. Organizacya go jednak nie usłuchała — i pod tym naturalnie tylko względem była podobną do „autonomistów“ konserwatywnych.

Czasem nawet Rząd Narodowy spotyka się z pochwałą p. Koźmiana. Raz mu jej udziela za memoryał przeznaczony dla zagranicy, a wydany w dzień imienia cesarza Napoleona. — „Był znakomicie napisany w formie dyplomatycznej, nacechowany znajomością stosunków, mówił to, co na razie istotnie mogło dobre wywrzeć wrażenie i być sprawie pomocnym“. Ale zaraz po tej pochwale idzie złośliwy dodatek: „memoryał tak treścią jak formą zdradzał człowieka innego kroju niż ludzie, którzy naprzemian kierowali spiskiem.“ Drugi raz chwali p. Koźmiana Rząd Narodowy z powodu memoryału przeznaczonego dla wręczenia Piusowi IX: „zrozumiano, że powstaniu odjąć należy cechę rewolucyjną, a pozostawić mu wyłącznie narodową.*)

W końcu Xgo rozdziału Rzeczy znajdujemy ustęp o długo przygotowywanej a tak smutnie zakończonej klęską pod Komorowem wyprawie Jordana. Zginęli tam jak wiadomo Juliusz Tarnowski i Władysław Jabłonowski. Brał w tej nieszczęśliwej wyprawie udział i Ludwik Wodzicki.

Widzimy z tego, iż *grono krakowskie* składało się w tej chwili tylko z dwóch Stanisławów: Tarnowskiego i Koźmiana. Nie mogło już nawet powoływać się na maksymę: *tres faciunt collegium*. Wodzicki zresztą, powróciwszy z pod Komorowa starał się o sekretaryat agencyi londyńskiej, o czem dowiadujemy się nie od p. Koźmiana lecz z „Materjałów.“ Rząd Narodowy zapytywał o niego ks. Wł. Czartoryskiego. Czartoryski był przeciwny nominacji, bo „lubo cenił zdolności i szlachetny charakter Wodzickiego,“ sądził, iż każdy agent sam powinien sobie dobierać sekretarza, „zresztą Anglji Wodzicki nie zna i zdaje się nie umie po angielsku.“

W liście tym Czartoryskiego znajduje się jedna ciekawa uwaga zasługująca na przytoczenie, bo charakteryzuje pewne koła. „Wiele osób, — pisze Czartoryski — stara się dla siebie, krewnych i protegowanych o urzędy i posady, któreby im bezpieczeństwo zupełne zapewniały przy pozorze służenia sprawie ojczystej.“

*) P. Koźmian twierdzi, że memoryał przysłano na jego ręce, aby prosił Adama Potockiego o wręczenie go papieżowi. Potocki nie chciał, a więc „to nadzwyczajne posłannicstwo zaniechanem zostało“. W V tomie Materyałów znajduje się odezwa Rządu Nar. w której zytamy iż „agent krakowski“ (nazwiska nie ma) ma prosić Potockiego lub A d a m a S a p i e h ę o wręczenie Memorjału Znów. więc pamięć nie dopisuje auorowi.

VI.

Na Litwie rządził Murawiew, w Warszawie Berg zastąpił Wielopolskiego i W. Ks. Konstantego.

Wyprawa na Wołyń Wysockiego, Horodyńskiego i Artura Gołuchowskiego skończyła się rozbiciem ich oddziałów.

W Paryżu wystąpił z gabinetu Walewski.

Akcja dyplomatyczna wciąż trwała, szczegóły jej jednak zbyt są znane, abyśmy o nich potrzebowali wspominać. 7go września zakończył ją Gorczakow wysłaniem korespondencji trzech mocarstw z Rosją, przyjmującą odpowiedzialność rzuconą na Rosją przez trzy mocarstwa i oświadczającą, iż nie chce przedłużać dyskusyi. Stało się to w miesiąc po zjeździe cesarza Franciszka z królem pruskim w Gasteinie, a w trzy tygodnie po zjeździe książąt Rzeszy niemieckiej w Frankfurcie, na który nie przybył król pruski pomimo zaprosin cesarza austryjackiego. Do zjazdów tych przywiązywano u nas wagę.

Kiedy dzienniki półurzędowe francuzkie zaczęły napomykać o możliwości porozumienia się Francji z Rosją i Prusami, gabinet wiedeński znowu zaczął nieco kokietować ze sprawą polską. Rechberg mówił o potrzebie „czegoś stanowczego,“ a krakowski Merkel otrzymał rozkaz przerwania stosunków z policją rosyjską.

Swoją drogą gabinety wciąż niby to się porozumiewały, a w każdym razie prowadziły pomiędzy sobą i ze swymi ambasadorami korespondencją. W Paryżu uznano za potrzebne starać się o uznanie powstania za stronę wojującą. J. Russel w mowie wypowiedzianej w Blairgovie oświadczył, iż Rosja przez niedopełnienie warunków Traktatu wiedeńskiego utraciła prawo do posiadania Polski. Anglia wysłała nawet osobnego kurjera do Petersburga z potwierdzeniem na piśmie słów lorda Russela, ale kurjer został cofnięty w środku drogi.

Próbowano nakłonić Austrją do zajęcia i przyłączenia Królestwa Polskiego. Żądano od Austrji stanowczości — od kulawego szybkiego biegu. Za to Bismark myślał o czemś podobnem na serjo, chciał wciągnąć Czartoryskiego, konferował z Kłobukowskim, zachęcał przez Keudla obywateli kaliskich, aby zażądali okupacji pruskiej.

Cesarz Napoleon w mowie wypowiedzianej w dniu 5go listopada chciał przedłożyć sprawę polską trybunałowi europejskiemu. Myśl kongresu zakomunikowano mocarstwom — nieprzyjętą złożono *ad acta*.

Wracajmy do Rządu Narodowego. W czerwcu stanęli na czele jego teroryści, ale wkrótce powstał nowy Rząd Narodowy, złożony z umiarkowańszych żywiołów. Z działalności tego nowego Rządu najwięcej zdziwił p. Koźmiana dekret mianujący „obywatela“ Czartoryskiego ajentem w Paryżu i Londynie. Naprzód Cz. był już ajentem, powtóre w pierwszej nominacyi „nie odmowiono tytułu księcia potomkowi Jagiellonów“. Opuszczając setki ważnych faktów, ma p. Koźmian miejsce na taki drobiazg, do tego stopnia po 31 latach odczuwa jeszcze boleść z owej mniemanej krzywdy uczynionej Czartoryskiemu. Zapewne sam ks. Władysław mniej odczuł niż p. Koźmian to wielkie nieszczęście Co się zaś tyczy owego Jagiellońskiego pochodzenia Czartoryskich, radzimy p. Koźmianowi zapoznać się z dziełem Kazimierza Stadnickiego „Bracia Władysława Jagiełły“, a może się wyleczy z wiary w tę bajeczkę.

W owym czasie widział się p Koźmian z Traugutem, spieszącym do Warszawy dla objęcia kierownictwa Rządu narodowego. Był to jedyny członek Rządu narodowego, którego p. Koźmian poznał osobiście podczas wypadków, a o ile go uderzyła brzydota fizyczna Trauguta, o tyle oddaje pochwałę jego piękności moralnej. Kto wie, czy gdyby p. Koźmian poznał był jeszcze osobiście innych członków Rządu Narodowego, nie byłby również o niektórych przynajmniej zachował taką samą pamięć, jak o Traugucie. Szkoda.

Dnia 17-go września znów skrajne żywioły opanowały Rząd narodowy. Dziełem ich były morderstwa polityczne i zamach na hr. Berga, który „żelazną ręką“ sięgał aż do Rządu narodowego.

Ow „najskrajniejszy i najszaleńszy“ Rząd narodowy żądał zupełnego poddania mu się Galicyi. Oparto się temu silnie, a Ludwik Wodzicki, który najwięcej w tem okazał siły i stanowczości, skazany został na śmierć. Kto jednak ten wyrok wydał, p. Koźmian nie jest w stanie powiedzieć. Dzięki Traugutowi nastąpił nowy przewrót. P. Koźmian zaręcza, iż Traugut postąpił sobie: „energicznie, stanowczo w duchu kierunku, który uznawał za potrzebny, w rozmowie z p. Koźmianem.“ Rząd z Traugutem na czele trwał od 17 października do połowy kwietnia 1864, tj. aż do wykrycia i aresztowania jego członków.

Wysunął się przedtem za owego najskrajniejszego rządu na widownię Mierosławski. Obdarzono go godnością jeneralnego organizatora. Traugut polecił wręczyć mu dymisyą, do czego użyto Augusta Gorajskiego. Kto ciekawy owego spisku Mierosławskiego niech przejrzy 5 tom „Materyałów do historyi powstania“, a dowie się więcej niż z książki p. Koźmiana.

Rząd austyacki zaczął występować z surowością. Nastąpiły rewizye i aresztowania. Wraz z członkami *Rady prowincyonalnej* został uwięziony, a potem osadzony w Ołomuńcu, Stanisław Tarnowski. Dostał on się w ręce władzy czysto przypadkowo. W znalezionych protokułach u Elżanowskiego znajdowało się nazwisko

---

Energia, poczucie honoru, zaparcie się siebie na korzyść kasty, która przez lat kilka będzie jeszcze instytucyą polityczną i społeczną — oto zawiązki, które starannie rozwijają w wychowankach arystokratycznego klasztoru. Abbaye-au-Bois — to szkoła kadetów — szkoła, w której uczą życia wytwornego, poświęcania się, rozwijają dumę i siłę woli. A naukę tę przyswajają sobie łatwo małe arystokratki, ich dzielność i duma jest wprost zdumiewającą. — Gdy przełożona pani de Rochelieu, rozgniewana do żywego, uporem swej uczennicy, panny de Montmorensy, w uniesieniu zawołała: „Miałabym ochotę cię zabić, patrząc w tej chwili na ciebie“, na to, ta ośmioletnia zaledwie dziewczynka, odpowiada z godnością: „Nie po raz pierwszy rodzina Richelieu, stałaby się katem rodziny Montmorensy“. — Sześć lat później ta sam ładna dziewczynka, leżąc na łożu śmiertelnem, rzekła ze stoickim spokojem: „teraz umieram“.

Obrazek z życia w Abbaye-au-Bois jest tem ciekawszy, a zarazem i dramatyczniejszy, że w chwili kiedy go skreśla Helena Massalska, podwaliny organizacyi społecznej, na jakich opierało się wychowanie uczennic arystokratycznego klasztoru, chiać i walić się poczynają. W chwili, gdy te małe dziewczynki tańczą, bawią się, wychodzą za mąż w dwunastym roku, lub składają śluby zakonne, jakiś śmiałek brutalny przedarł się przez mury klasztorne i swą morderczą ręką zaniósł zagładę wszystkiemu. Nauczycielki kształcą uczennice swe na wielkie panie, lecz równocześnie, nie wiedząc o tem, uczą je jak umrzeć mają, uczą je jak skrócić nędzę wygnania lub skłonić głowę pod gilotyną.

Świat, jaki nam opisuje Helena Massalska, zniknął bez śladu — arystokracya, nie będąc instytucyą społeczną — istnieć przestała. — Zmieniło się wszystko, zmieniły się i zakłady wychowawcze dla panien. Bo czyż można porównać Abbage-au-Bois z teraźniejszemi Urszulankami lub Sacre Coeur? W najarystokratyczniejszych klasztorach francuskich przeważa ilość mieszczanek, a wychowanie jakie w nich panny odbierają jest całkiem demokratyczne. Tańce i deklamacye ustąpiły miejsca rzeczom poważniejszym, a nawet klasztor na przedmieściu Saint Germain kształci swe wychowanki na nauczycielki. — Nie ma już wielkich pań we Francyi, a przedstawicielki znakomitych rodzin nie różnią się wcale od mieszczanek. Pozostała bowiem tylko jedna arystokracya — arystokracya rozumu.

H. S.

Tarnowski bez imienia*). Tym Tarnowskim był Jan z Chorzelowa, członek komitetu zachodniej Galicyi. Nie przebywał on często w Krakowie, więc nie miała policya żadnego podejrzenia. Nie podejrzywano też Jana Tarnowskiego, brata Stanisława, późniejszego marszałka, który „ubolewając nad wszystkiem co się działo nie ruszał się z domu z Dzikowa“. Zrobiono więc rewizyą u Stanisława. Znaleziono mundur pruski Ludwika Mycielskiego, stos gazet i jakiś raport przysłany do Ludwika Wodzickiego. To wystarczało do utwierdzenia policyi w przekonaniu, iż ma tego, którego szukała. *K. Bartoszewicz.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) P. Koźmian z najgłębszą ironią odzywa się o „konspiratorze“ Elżanowskim za to zapisywanie nazwisk. „Zaiste, nie warto było tak długo ćwiczyć się w rzemiośle, aby go (! czy nie: je?) tak mało udoskonalić.“ Zgoda na to, iż to był nonsens, ale czemu p. Koźmian ciągle i nieustannie kpi z tego, że używano pieczątek zamiast podpisów. Widocznie więc chciał, aby Rząd Narodowy i jego władze podpisywały listy, odezwy, rozporządzenia i t. p. własnemi nazwiskami. Nazwisk używać nie było można, cóż więc mogło stwierdzić autentyczność jeżeli nie pieczęć? Chęć ośmieszenia „przeciwników“ aż do takich doprowadza nielogiczności!

Edmund Wasilewski.

(*W 48 rocznicę śmierci poety.*)

Po upadku pamiętnego powstania 30 roku nastąpiła u nas chwila skupienia.

Duch Polski, znalazłszy zamkniętą drogę polityki, wylał się strumieniem w poezyi i sztuce. Powstaje cały zastęp młodych poetów, który rzuca się zuchwale na dawne bogi i kruszy ich podstawy.

W takiej chwili zjawia się Edmund Wasilewski.

Pełen zapału i wiary w przyszłość gra na strunach swej lutni, — nadzieją stroi pierwsze swe utwory, — ale młodości kwiat złamała wichura życia.

Rozpacznie, wytrwale walczy o chleb, jednakże ta walka ideału z rzeczywistością miała go zabić.

Życie jego płynęło w głębokiej samotności wewnętrznej, pod wpływem najsmutniejszych wrażeń a oświecił je tylko jeden promień jasny, wesoły — miłość do Halki.

Ta nędza, boleść i troski życia odzywają się bezustannie w jego poezyach. Nawet w krakowiakach słychać zgrzyt bólu i namiętnej walki porywy. Nie jest on psychologiem, nie bada, nie określa z zimną krwią swego stanu — dlatego nie ma u niego analizy namiętności — jest namiętność sama. Zajmują go tylko zdarzenia w życiu uczuciowem i umysłowem, walka wyobrażeń i wzruszenia umysłu, a jedynie na dźwięk: O j c z y z n a! odrywa się od swych uczuć osobistych, aby i jej śpiewać bóle i nieszczęścia.

Jak pod ręką rzeźbiarza, gnie się u niego język w różne formy i kształty; będąc samodzielnym za najpierwszy warunek poezyi poczytywał oryginalność i szczerość. Entuzyazm to pierwsze poezyi źródło. Dla tego też myśl dźwięcząca a pełna skargi w jego poezyach, to nie zimna fikcya, lecz dziecię zrodzone w bólach i jękach. „Pierwsze sny mojej młodości, wy nie jesteście dziećmi woli i rozkazu!“ woła poeta w przedmowie do pierwszego wydania. W niektórych miejscach przypomina on rysy ponurych bohaterów Byrona, w niektórych sceptycyzm Heinego, lecz nigdzie nie spotykamy wybujałych płodów młodzieńczego „weltschmerzu“.

Spokojnie zaczyna wieszczyć — bo spokojne jeszcze jego serce, ale wkrótce zaczynają się rwać jego tony, stają się krótsze, urywane, namiętne... Poeta skarży nam bóle swego serca; czasem niewyraźnie, cicho jak brzęk muszki latającej odezwie się radość, ale milknie natychmiast pod ogromem boleści. Coraz wyżej wznoszą się akordy i prężą się w splotach wężowych; syk ostry, niemiły psuje harmonią. To zgrzyt Mussetowski, to ironia waryata, to wicher wspomnień, co trawi jego serce. Ale wnet opada szał i poeta stoi pełen rozpaczy, beznadziejny, dokąd ma zwrócić swe kroki. Zaczyna bluźnić i szydzić — bo wszędzie widzi czczość i pustkę. Nagle staje przed nim pielgrzym o twarzy spokojnej i jasnej, bierze go za ręce i wskazuje na Polskę:

Patrz na ten cmentarz — to kraj twój; tam twoje natchnienie.

I wieszcz czuje, jak serce mu nabrzmiewa nieznanem uczuciem, jak nowe tony, pełne harmonii i miłości, nie tej egoistycznej do kobiety, lecz miłości Ojczyzny, miłości wszechświata brzmią z strun jego lutni. Zapóźno!

Zapóźno przyszła chwila reakcyi, nad siły była walka z życiem i poeta zgasł jak ulubieniec bogów w młodym wieku na rękach przyjacieli.

Było to 14 listopada roku 1846, gdy dzwony krakowskie zadzwoniły pieśń żałobną nad mogiłą Edmunda Wasilewskiego.

En.

Interview z p. Lugné-Poe o teatrze l'Oeuvre.

Za inicyatywą Lugné-Poë powstał w roku zeszłym w Paryżu teatr l'Oeuvre. Niezwykle bogatą artystyczną naturą obdarzony Lugné-Poe dobrał sobie kółko towarzyszów tych samych, co on tendencyi, z zamiarem wystawiania sztuk o idealistycznym kierunku, nie krępując się w ich wyborze, ani narodowością autorów, ani epoką powstania danego utworu.

Pomysł Lugné-Poe przypomina nieco historyę założenia Théatre-Libre, tak świetnie przez lat kilkanaście rozwijającego swoją działalność (w roku bieżącym Antoine, dyrektor Théatre-Libre przedsięwziął wraz ze swoją trupą podróż artystyczną po za granice Francyi, a obecnie daje przedstawienia w Berlinie, gdzie wielkiego doznaje powodzenia). Pomysł i organizacya Théatre-Libre, ma wiele wspólnego z teatrem de l'Oeuvre, po za tem wszakże tendencye ich są różne. Antoine chciał zerwać z rutyną, wystawiać sztuki młodych autorów, nie mogących się dać poznać skutkiem merkantylnej lękliwości dyrektorów wielkich paryzkich teatrów, chciał on zarazem tę samą oddać przysługę zdolnym artystom dramatycznym a pozostającym w tymże stosunku względem dyrektorów; chciał jeszcze Antoine wprowadzić inowacye w dykcyi, dekoracyi, subtelnem stosowaniu się do prawdy życiowej. Podołał temu i trudy jego zostały nagrodzone sławą, jaką on i jego teatr cieszył się w Paryżu, zyskując przytem rozgłos i po za granicami Francyi.

Lugné-Poe nie jest realistą, lecz idealistą. Poszukuje on piękna, prawdy i światła w wystawianiu sztuk Ibsena, wierzącego w fatalizm, jak Eschylos i Sofokles; rozumie on dobroć i tęskiwą litość na sposób Maurycego Maeterlincka, Hauptmanna, Bjoernsona; cierpienie i niesprawiedliwość okrutnej natury, zmieniającej w niedolę życie człowieka, pojmuje i odczuwa wraz ze Strindbergiem.

W czasie sezonu letniego Lugné-Poe zapragnął pojechać na północ do Danii, Norwegii, Szwecyi, wraz ze swoją trupą, i na miejscu, w ojczyźnie Ibsena, przekonać się, o ile jego usiłowania co do pojmowania ducha i dążności Ibsena, zyskają pochwałę mistrza. Jego drażliwość, jako artysty potrzebowała uspokojenia, mogącego spłynąć tylko z ust Ibsena. Obecnie Lugné-Poe wrócił do Paryża i w tych słowach opowiedział redaktorowi „Eclairu“ doznane wrażenia:

— Zaręczono mi, iż język francuzki znany jest w najsubtelniejszych odcieniach przez każdego wykształconego skandynawczyka, przedstawienia zaś nasze mogły być pożądanemi wyłącznie tylko dla ludzi interesujących się sztuką i życiem umysłowem. Pojechałem więc z dwunastu towarzyszami; trupa nasza zatrzymała się po drodze dla dawania przedstawień w pięciu miastach: w Antwerpii, Amsterdamie, Kopenhadze, Sztockholmie. Celem naszym wszakże była Chrystiania, a zwłaszcza Ibsen. Uprzedzono mnie, iż stary mistrz wzbrania do siebie przystępu, że jest mocno niedowierzającym. „Strzeż się pan — powiedziano — przyjmie pana chłodno. Rozbrojony on dopiero będzie, gdy ujrzy i usłyszy, co możecie i czego chcecie“. Zaleciłem też członkom mojej trupy, aby nikt z nich nie starał się zapoznawać z Ibsenem; wszak musiał wiedzieć o naszem przybyciu z miejscowych dzienników. Był na pierwszem przedstawieniu, lecz ukrył się w głębi loży i nie dawał znaku życia. Nazajutrz daliśmy inną jego sztukę: „Mistrz Solness“ i tego wieczoru Ibsen był już naszym przyjacielem. Od początku przedstawienia stał na przodzie swej loży, dawał oklaski, uśmiechał się i dziękował nam za widoczną przyjemność, jakiej doznawał. Nigdy go nie widziano tak wesołym i rozegzaltowanym. W czasie jednego z antraktów przybiegł do nas i ucałował ręce panny Bady, grającej rolę Hildy; całując jej ręce, płakał z rozrzewnienia, mówił, że nigdy nie widział doskonalszego odtworzenia swego dramatu. Po skończonem przedstawieniu zaprosił nas wszystkich na wspaniałą kolacyą do Grand Hotelu, a gdyśmy tam przybyli, rodzina Ibsena witała nas jak starych znajomych. Tak, wycieczka nasza w kraje skandynawskie była raczej tryumfem; oczekiwano nas na ulicy i czyniono owacye tak serdeczne, iż na zawsze o nich pamięć pozostanie zarówno mnie, jak moim towarzyszom. Pewnego dnia zapytał mnie ktoś ze świata oficyalnego:

— Czy chcesz się pan widzieć z królem?

— Bardzo będę szczęśliwy — odpowiedziałem. I zaraz nazajutrz rano na oznaczoną godzinę stanąłem w królewskich pokojach. Król Oskar wybornie mówi po francuzku i w przeciągu paru godzin, jakie spędziłem w jego towarzystwie, przekonałem się osobiście, że zasługuje na wyrobioną i krążącą o nim opinię, iż niezwykle jest wykształcony, a zarazem jest znawcą i wielbicielem sztuki we wszelkich jej objawach. Wyznaję, iż tak ja, jak moi towarzysze, niezmiernie byliśmy zdziwieni, spostrzegając, do jakiego stopnia skandynawczycy interesują się wszelkiemi kwestyami filozoficznemi, społecznemi, literaturą i sztuką. Pobyt nasz w Chrystianii miał miejsce przed samemi wielkiemi wyborami, zajmowano się więc z konieczności i z przejęciem polityką. Pomimo to nasze przedstawienia bynajmniej nie ucierpiały; taatr był zawsze przepełniony, a publiczność znajdowała jeszcze czas, aby o nim czytać w dziennikach i dyskutować w salonach. Porównywałem to wszystko z naszemi francuzkiemi stosunkami. Prawda, że w Paryżu teatrem naszym interesuje się żywo pewna część prasy, oraz kółko młodszych literatów i artystów, lecz ani razu nie widzieliśmy u siebie w loży, chociażby tylko ministra sztuk pięknych, podczas gdy tam, na północy, każdego wieczoru graliśmy przed licznem kołem publiczności, króla, jego rodziny i całego świata oficyalnego.

— Jakie masz pan zamiary, co do programu na sezon tegoroczny, to jest zimy 1894 do 1895?... Czy prawdą jest, że składać się on będzie z dwóch działów, a mianowicie utworów dawnych mistrzów, oraz z utworów pisarzów współczesnych?

— Taki mam rzeczywiście zamiar. Zdaniem mojem, Szekspir źle jest grany i mało rozumiany we Francyi A jakże rzadko pojawiają się na naszych scenach tragedye z literatury starożytnej! Otóż, o ile siły nasze podołają, pragniemy wskrzeszać arcydzieła dotychczas odtrącone, lub grywane tylko częściowo, urywkami. Któż u nas widział na scenie utwory Forda, Webstera, Beaumonta... A przecież pisarze ci współzawodniczyć mogą nawet z Szekspirem! Posiadam już przekłady ich utworów, dokonane przez Maeterlincka a Marceli Schwob przyobiecał seryę konferencyi, poprzedzających odegranie każdej sztuki.

— Jakże poradzisz pan sobie z dekoracyami, z wystawieniem tych sztuk, nigdy u nas niegranych?...

— Porozumiałem się w tym względzie z p. Sawitz z Monachium, który jest wielce biegłym dyrektorem części dekoracyjnej teatrów królewskich w Bawaryi. Przybędzie on do Paryża i zarządzi stroną techniczną przedstawień utworów Forda w teatrze l'Oeuvre. Scena będzie podwójna, najpierw dekoracya szara, neutralna, wśród której będzie miała miejsce konferencya i wyjaśnienie danej sztuki, a w właściwej chwili uniesie się zasłona i odsłoni tylną dekoracyą, wśród której toczyć się będzie akcya.

— Których autorów współczesnych masz pan zamiar wystawić na swej scenie?...

— Postanowione już jest między nami wystawić rzeczy następujące: „Tintagiles" i „Intérieur" Maeterlincka, „Brand" Ibsena, „Phocas le Jardinier" Vielé-Grifin. i „Dans le crime" Gueyerstanna (tłomaczone przez Prozora); sztuka ta będzie w tych czasach wystawioną po raz pierwszy w Sztokholmie. Nadto „Le Grand Galeotto" Echegarya, kilka drobnych utworów Jana Lorraina, „Herolda" pani L. Lacour, oraz „Vie Muette," utwór Maurycego Ceaubourga. W teatrze l'Oeuvre główną tendencyą jest czysta sztuka, odtworzenie wewnętrznego życia istoty ludzkiej. Tegoroczny nasz repertuar prawie że nie potrąca o kwestye społeczne. Co zaś do konferencyi poprzedzających przedstawienia i objaśniających danego autora, te wygłoszone zostaną przez Henryka Bacque'a, Tailhade'a, de Wyzewę i Schwoba.

M.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Szowinizm studentów niemieckich.

Karlsruhe, 10 listopada.

Nikt by nie uwierzył, że garstka młodzieży polskiej, zmuszona zdobywać sobie wiedzę wśród obcego żywiołu, zdala od ziemi rodzinnej, zdoła zaszczepić temu żywiołowi obawy o zatracenie charakteru narodowego. Okoliczność tę ilustruje najlepiej fakt, jaki miał miejsce temi dniami w szkole polytechnicznej w Karlsruhe.

Stolica W. Księztwa Badeńskiego przedstawia dla kształcącej się młodzieży polskiej pewną siłę atrakcyjną, choćby już ze względu na możność tańszego utrzymania się — kwestya bodaj najważniejsza — niżli w innych miastach, posiadających podobny zakład naukowy. Program studyów, o semestr cały krótszy, nie małą także stanowi zachętę. To też wszystkie trzy zabory są tutaj reprezentowane, komplet jednakże nie przekracza cyfry 50. Szkoła polytechniczna liczy w semestrze bieżącym około 1000 słuchaczy ogółem, w tej liczbie nie więcej nad 200 cudzoziemców.

Najsilniej obsadzonym jest przez cudzoziemców wydział chemiczny, gdzie na ogólną liczbę 110 słuchaczy przypada: 25 Polaków, 15 Rosyan i około 10 innych narodowości. Liczby te, względnie wysokie, bo 50 proc. stanowiące, od pewnego czasu stały się solą w oku niemieckim studentom, a obecnie wywołały burzę, dając folgę wezbranej namiętności i zawziętości. Jak w każdym innym zakładzie naukowym, tak i tutaj, ogół studentów na każdy semestr wybiera z swej liczby przedstawicieli t. z. „Ausschuss". Celem tegoż: — pośrednictwo w sprawach studenckich z zarządem zakładu, oraz reprezentacya na zewnątz. Tak być powinno w zasadzie, w rzeczywistości jednak funkcye owego „Ausschussu" ograniczają się do urządzania komersów, pochodów z pochodniami i t. z. „knajp okolicznościowych".

„Ausschuss wybieranym bywa na ogólnych zebraniach studenckich, które zwoływane bywają w miarę potrzeby.

Dotychczas prawo wybierania i wybieralności (w myśl statutów zatwierdzonych przez zarząd zakładu i przez ministeryum oświaty) przysługiwało każdemu bez wyjątku studentowi. Na ostatniem zebraniu, które się odbyło przed kilku dniami, zaprojektowano zmianę paragrafu ustawy w ten sposób, ażeby do „Ausschussu" mieli prawo wstępu tylko Niemcy. Wnioskodawca, motywując swój projekt, zaznaczył, że skłoniła go do tego kroku nadzwyczajna ilość Polaków, znajdująca się na wydziale chemicznym, przez co zatraca się charakter niemiecki zakładu (sic!) „Do jakiego stopnia — ciągnął patetycznie mówca — dochodzi bezczelność tych panów, opisać nawet niepodobno; pozwalają sobie oni w naszej obecności w laboratoryach rozmawiać z sobą po polsku"! Po zakończeniu swej mowy, obdarzony został bohater ten grzmotem oklasków, nie mających końca. Dwóch Polaków próbowało zabrać głos, lecz ich zakrzyczano i wyśmiano. Znalazł się przypadkiem jeden Niemiec, śmielszej natury i lepszej głowy, któremu idyotyczne motywy wnioskodawcy do rozumu nie trafiły, i próbował krytykować takowe, lecz i jego nie lepszy los spotkał. Wreszcie, po przyjęciu projektu, zamknięto zebranie odśpiewaniem „Deutschland, Deutschland ueber Alles".

Dziś sprawa niemiecka uratowana, a oblicza potomków rycerzy teutoburskich promienieją tryumfująco przy każdem spotkaniu z dotkniętymi interdyktem.

Pozostaje mi wyjaśnić właściwe przyczyny takiego antagonizmu względem Polaków, a właściwiej wszystkich słowian, oraz zaznaczyć stanowisko, jakie zajęli obecnie wydziedziczeni z przynależnych im praw. Znanem jest powszechnie tryb życia niemieckiego studenta, nie będę więc go charakteryzował. Ogół tychże składa się wyjątkowo z ludzi zamożnych, ktorzy nie ograniczają się w czasie, studyując zazwyczaj po kilkanaście semestrów i uprzyjemniając sobie czas ten wszelkiemi sposobami. Z młodzieżą polską rzecz się ma wręcz przeciwnie. Przeważnie niezamożna — stara się ukończyć studya w jaknajkrótszym czasie, wskutek czego w życiu kolegów niemieckich udziału brać nie może. Trzyma się też zdala od korporacyi „burszenszaftów", nie przyjmuje wyzwań na uprawiane z zapałem „mensury" — natomiast pilnością swoją zyskuje uznanie profesorów i, co za tem idzie, słuszne wyróżnianie n. p. przy angażowaniu na stanowiska asystentów itp. Okoliczność ta była główną, jeżeli nie jedyną przyczyną rozgoryczenia niemieckiego. Kolonia polska postanowiła przedewszystkiem wstrzymać napływ rodaków do tutejszego zakładu, przez opublikowanie niniejszej wiadomości i agitacyę wśród znajomych swoich — sama zaś w miarę możności przenieść się w jaknajkrótszym czasie do innego zakładu odpowiadającego tutejszemu.

Efes.

KRONIKA KRAKOWSKA

13 listopada.

Dzierżawa teatru. — Pomnik Mickiewicza. — P. Friedlein i ks. Windischgraetz. — Kobiety w uniwersytecie. — Zaburzenia w Czernichowie.

Wydział krajowy zażądał od Rady miejskiej, ażeby zgodziła się na uchwalenie następującego wniosku: „umowa z dzierżawcą teatru miejskiego w Krakowie może wejść w życie dopiero wtedy, gdy przez Wydział krajowy zostanie zatwierdzoną, a przed jej zatwierdzeniem teatr dzierżawcy oddanym być nie może." Przez uchwalenie tego wniosku Wydział krajowy chce zapobiedz, aby na przyszłość nie oddawano dzierżawy teatru przed zatwierdzeniem umowy przez Wydział krajowy, który zobowiązał się zapłacić ratami: 150,000 złr. jako ofiarę ze strony kraju na wybudowanie gmachu teatralnego. Dając taką kwotę wymaga kraj, aby miał prawo wglądania w sprawy teatralne i wpływ na prowadzenie teatru. P. Pawlikowski objął dzierżawę teatru w takim czasie, że Wydział krajowy musiał *volens nolens* zatwierdzić zawartą z nim przez Radę miejską umowę. Tak być dalej nie może, Wydział nie może stać pod presyą faktu spełnionego. Rada jednogłośnie uznała potrzebę należytego udzielenia gwarancyi Wydziałowi krajowemu, iż podobny wypadek się nie powtórzy i uchwaliła wniosek przedłożyć.

Mówiono też na Radzie miejskiej o pomniku Mickiewicza. Radzca Domański pytał się, kiedy pomnik nareszcie zostanie odsłonięty i kiedy zostanie zniesiony otaczający go szkaradny parkan, czyniący przeszkodę w komunikacyi. Przy tej sposobności, był mówca echem opinii, podnosząc „wątpliwość", co do piękna figury Mickiewicza. Pan prezydent odpowiedział, że co do usunięcia parkanu poczynił już kroki do komitetu, a na drodze prywatnej dowiedział się, iż odsłonięcie pomnika nastąpi w maju roku przyszłego.

Wielką nowością, nie wiem czy dla radzców, ale dla ogółu mieszkańców, była wiadomość, iż ks. Windischgraetz, komendant korpusu we Lwowie, otrzymał od prezydenta wysłaną imieniem gminy gratulacyą z powodu zaślubin jego córki. Dotychczas podobne powinszowania wysyłane były jedynie członkom domu panującego i to na mocy uchwały Rady miejskiej. Gdyby prezydent Rady miasta chciał winszować telegraficznie wszelkich zaślubin, odbywających się w łonie arystokracyi miejscowej i napływowej, to trzebaby chyba wstawić osobną pozycyą do budżetu, gdyż arystokracya dość często i dość chętnie wstępuje w związki małżeńskie. Prawda, iż ks. Windischgraetz był niegdyś komendantem w Krakowie, ale zawsze w Krakowie bywa jakiś komendant, który zazwyczaj posiada córki na wydaniu. Oprócz komendanta, są jeszcze inni naczelnicy władz, tak w Krakowie, jak i w Galicyi, którzy bliższy mają stósunek z miastem, niż naczelnicy wojskowi. Należałoby więc mieć spis dokładny ich synów i córek i dobrze informować się, kiedy porzucają stan kawalerski, lub panieński, ażeby gratulować ich rodzicom. Zkąd ta lojalność napadła p. Friedleina, nie wiadomo — może chce nią zatuszować nielojalność, okazywaną przez siebie w obec uroczystości narodowych.

Redakcya „Czasu" dość wyraźnie zaznaczyła swoje stanowisko zasadnicze w sprawie dopuszczenia kobiet do studyów na uniwersytecie Jagiellońskim. To „stanowisko zasadnicze" było przeciwne kobietom, pałającym żądzą zasiadania na ławach uniwersyteckich. To też ze zdziwieniem odczytano artykuł pomieszczony w łamach tego pisma, a przemawiający za uwzględnieniem objawiającego się u płci pięknej zapału dla wiedzy. Autor artykułu zna stare kroniki, w których wyczytał, że w XVI wieku nasza *Alma Mater* otwierała gościnne podwoje nietylko żakom, dążącym z najodleglejszych dzielnic kraju, ale i niewiastom żądnym koleżeństwa z tymi żakami. Autor pragnie, aby powróciły te czasy, a to z rozmaitych względów. Za najważniejszy wzgląd uważa, iż kilkanaście osób młodych, a spragnionych wiedzy wyższej, głębszej, ujrzawszy zamknięte dla siebie podwoje uniwersytetu Jagiellońskiego, przeniesie się za granicę, gdzie będą na nie działały obce wpływy, gdzie nawet mogą się odwrócić od tego, co im było drogiem i pożądanem wśród ucisku i utrudnień, tamujących wszelkie wyższe poloty." Przybyszki te do Krakowa, zapewnia autor artykułu, są dalekie od gwałtownych żądań i haseł rzekomej emancypacyi. Płeć męzka nie potrzebuje się ich obawiać, bo nie myślą o konkurencyi, nie domagają się dyplomów, do posad cisnąć się nie będą. Prócz tego i względy ekonomiczne przemawiają za dopuszczeniem przybyszek do studyów uniwersyteckich, gdyż Kraków tylko zyskać może przez przyciąganie żywiołów świeżych, w grosz zaopatrzonych. „Czas" umieścił ten artykuł tak sprzeczny z jego zapatrywaniem jedynie dla tego, aby sfery powodowane do rozstrzygania tej kwestyi poznały takie intencye, dążenia i pobudki, jakiemi się kierowały przybyszki. Jest w tem coś niejasnego. Kto zasadniczo jest czemuś przeciwny, ten nie będzie w obec sfer rozstrzygających przedstawiał do-

datnich intencyi przeciwnika, bo to nie do niego, lecz do przeciwnika należy. Jeżeli zaś je przedstawia i to wyraźnie w tym celu, aby przy *rozstrzyganiu kwestyi* zwrócić na nie uwagę, to znaczy, że albo się z nimi solidaryzuje, albo co najmniej nie ma zasadniczego stanowiska, waha się, namyśla. Trudno odgadnąć, co „Czas“ skłoniło do przyjęcia pośrednio roli rzecznika kobiet żądnych wiedzy. Możeby się dało tę zagadkę rozwiązać, dowiedziawszy się kogo oznacza herbowy pseudonim „Korczak,“ ukrywający autora artykułu. A nuż to jaki Gorajski, albo co większa Branicki, boć te rodziny „Korczakiem“ się pieczętują. Jeżeli tak, to rzeczywiście trudno było „Czasowi“ utrzymać się na zasadniczem stanowisku. .

W szkole rolniczej w Czernichowie znów było zajście pomiędzy młodzieżą, a jej przełożonymi. Mówię „znów“, bo „szkoła ta ma dziwne szczęście do nieporządków na wielką skalę. Przed rokiem widział Kraków istną pielgrzymkę narodów, ciągnącą przez jego ulice. Szedł wóz za wozem z kuframi, łóżkami, szafami, pościelą, a koło tych wozów postępowała znaczna gromada młodzieży. Byli to wszyscy uczniowie szkoły czernichowskiej, którzy ją porzucili, stając w obronie jednego z kolegów, któremu według ich przekonania dyrekcya krzywdę wyrządziła. Musiano traktować z młodzieżą, nakłaniać ją do powrotu, a dla utrzymania powagi władzy zamknięto zakład na dni kilka i rozpoczęto nowe wpisy. Obecnie jest ta sama historya, choć na mniejszą skalę. Cały kurs II-gi wypowiedział posłuszeństwo wskutek ukarania jednego z uczniów; tak samo więc kurs rozwiązano i tak samo nowe wpisy ogłoszono. Należałoby przyczynę tych niepokojów głębiej zbadać, bo według wszelkich praw logiki musi być coś wadliwego w samej organizacyi szkoły, lub też w samem gronie profesorów, czy dyrekcyi jest jakiś czynnik burzący.

Dowodzi tego jednomyślność młodzieży. Wszędzie spotykają się od czasu do czasu, lecz nie tak często jak w Czernichowie, zatargi młodzieży z władzą, ale buntuje się młodzieży część, połowa, choćby trzy czwarte, a nawet dziewięć dziesiątych, zawsze jednak pozostaje pewna garstka, stojąca zdala od „buntu“, a nawet całkiem mu przeciwna.

Jestto całkiem naturalne, bo wszakże młodzież składa się z rozmaitych żywiołów, wszak są to ludzie pochodzący z rozmaitych sfer, rozmaicie wychowani, różnego temperamentu, różnych wad i przymiotów.

Jeżeli więc coś *wszystkich* oburza, jeżeli wszyscy nie pomnąc na przykre dla siebie następstwa moralne i materyalne, podnoszą chorągiew buntu, to z objawem tym seryo liczyć się należy i nie składać wszystkiego na opór i nieposłuszeństwa młodzieży. Chyba, iż Czernichów jest jakąś specyalną przystanią, do której spieszą na naukę wszelkiego rodzaju młodzi rewolucyoniści. Ale w to przecie trudno uwierzyć....

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYŃSKA.

3 listopada.

(Żywy obraz, w którym Cnotę reprezentują znikome acz okazałe kształty pani Chant. Grom wypadkiem trafia w teatr Empire. Tryumf Cnoty. Moralność zaprowadzona ukazem. Płacz i zgrzytanie zębów akcyonaryuszów. Sąd John Bull'a o tej farsie. Czemu zgon cara okrył sławą „Codzienne Nowiny“? Nasi artyści. Reklama.)

Podczas, gdy pan Rosebery marzy o gorzkiej pigułce dla izby lordów i pisze przedmowę do nowego rozdziału historyi angielskiej, walczy na innej arenie radykalne ciało, gospodarujące w stolicy w imię moralności.

Rada hrabstwa corocznie potwierdza i udziela licencyi na wyszynk wódek oraz na otwieranie przybytków muzyki i tańca. Inspektorzy, szpiegujący po wszystkich kątach, zdają raport, czy gdzie nie działo się coś szpetnego. Po wpół do pierwszej wieczorem nic do picia w Londynie dostać nie można. Ztąd koniecznie trzeba należeć do klubu.

Zdarzyło się w tym roku, że Cnota zstąpiła w grono świątobliwych rajców, przedzierzgnięta w okazałe kształty kaznodziejki, pani Chant. W imieniu przykładnych białogłów Wielkiej Brytanii zeznała, że — ma męża, jest z nim szczęśliwą i kusicielkom niczego nie zazdrości, ale teatru Empire strawić nie może. Zwiedziła go kilkakrotnie w stroju balowym; sztuki akrobatyczne i żywe obrazy podobały jej się, spotkał ją nawet zaszczyt ze strony jakiegoś krótkowidza, że wymownie mrugnął na nią jednem okiem, mimo to wszakże uważała, że „te panie“ chodzą za wiele po „promenadzie“, a niektóre baletniczki zbyt lekko są ubrane na tę porę.

Gdy wyrecytowała gładką oracyą, chmura czarna padła na umysły moralnych ojców miasta, obywatelskich zalet piastunów, i wstąpił w nich duch cnoty. Mało kto z nich oczywiście przestąpił w życiu swem próg tego music-hall'u, bo — mogłoby się to nie podobać wyborcom, chociaż i faktem jest, że bywały tam osoby duchowne i nic zdrożnego nie znalazły. Rzecz się ma bowiem tak, że kto bardzo szuka, wszędzie dopatrzy się czegoś gorszącego. Tak tedy Jowiszowe oblicze rady nasrożyło się, powstał grzmot i runął grom w gmach teatru.

W łonie rady byli i tacy, którzy wskazując na kanony rozsądku i sprawiedliwości wołali:

„Czemu mamy iść za głosem tej pani? Czyliż nie mamy płatnych inspektorów, którym zawsze dajemy wiarę? Co działo się w Empire? Chodziły kobiety, chodzili mężczyźni, jak chodzą po ulicach lub innych teatrzykach rozmaitości i kwita. Jeźli która była niegrzeczna, szybko i delikatnie proszoną ją, aby obejrzała sobie drzwi od strony ulicy. Czemu Empire właśnie ma być kozłem ofiarnym? Czemu nie Alhambra lub Aquarium? Dla tego, że ten music-hall był najlepszym w Europie? że płacił siedemdziesiąt pięć procent dywidendy? Dlatego, aby sześćset osób personalu poniosło straty materyalne?“

Słowa te niegodnych przebrzmiały jak głos wołającego na puszczy i zapadł wyrok, że w Empire nie wolno sprzedawać trunków ani zażywać żadnych przechadzek i że odtąd moralność ma panować w Albionie. Gdy kto zatem zapragnie wyciągnąć ścierpłe nogi, musi wyjść na ulicę. Rajcy miasta poszli do domów popłukać trunkiem wyschłe gardła, spełniwszy godnie swe zadanie, — kusicielki udały się do innych teatrów, — Cnota zaś z obliczem tryumfującem i pudrem pomazanem, wstąpiła zapewne z kolei we wspaniałe progi Alhambry, albo poszła powiedzieć kazanie: Jak należy się bawić? na którem onegdaj przywitano ją bardzo niegościnnie. Że też śmiertelnicy uszanować nie zdolni Cnoty. Akcyonaryusze wreszcie usiedli na bezwartościowych papierach jak Jeremiasz na gruzach Jerozolimy i powstał wielki płacz i zgrzytanie zębów.

Jako indywiduum cnotliwe cieszę się nad pognębieniem wszeteczeństwa i wypłataną teatrowi sztuczką, bo — nie miałem udziału w tem przedsiębiorstwie. W ten moment każę moralność moją opatentować w nadziei, że dobrze myślący założą wkrótce jaką lukratywną instytucyą dla wybranych.

Prasa podzieliła się na dwa naturalnie obozy. „Radykalna“ sofizmatami uniewinnia radę; swego bowiem zawsze bronić trzeba. „Konserwatywna“ tymczasem zaprzedała się piekłu i wymyśla radców od nielogicznych, niesprawiedliwych i hypokrytów.

Tout Londres nie mówi obecnie o niczem innem. Wobec tego oczekiwana śmierć cara małe wywołała wrażenie. Nota bene Londyn odebrał wiadomość o zgonie „monarchy pokoju“ w niespełna dwie godziny, a więc o kilka godzin wcześniej od Petersburga i innych miast. Pierwszy zwiastował wielką nowinę „Daily News“ i czuje się dumnym z odniesionego zwycięstwa nad wszystkiemi dziennikami a nawet ambasadami i ministeryami.

Reszkowie śpiewają obecnie w Nowym Jorku. Modrzejewską zaangażował podobno p. Jerzy Alexander na dwadzieścia kilka przedstawień do swego teatru St. James, lecz dopiero gdy publiczność będzie miała dość „Hulaków“ pana Janes'a. — Paderewski nie przybędzie do Anglii, gdyż wzgląd na zdrowie każe mu przedłużyć pobyt w Aix-les-Bains. — Józef Hofman koncertuje na prowincyi. Dnia 19 bm. wystąpi przed publicznością londyńską. — Panna Natalia Janota bierze udział w tournée po Anglii.

Nie mam przyjemności znać sławnej pianistki osobiście, a widząc ją raz tylko na estradzie zakochać się nie mogłem, bo dobrym mym zamiarom stanął na przeszkodzie muślinowy wual, lecz jako rodaczce winienem zrobić maleńką reklamę i polecić nadobnym czytelniczkom kompozycyą panny Janoty p. t. *Deutscher Kaiser-Marsch* (!)

Nobody.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

11-go listopada.

(Zmiany w koalicyi. — Obrady nad kodeksem karnym. — Nowy projekt ustawodawczy. — Ze świata artystycznego.)

W parlamencie austryackim dzieją się dziwne rzeczy. Przed kilku dniami ogłosił organ lewicy niemieckiej iż klub liberalny postanowił powiększyć liczbę swoich prowodyrów w zarządzie klubowym, a to z powodu, że zarząd obecny w ostatnich wypadkach nie zajął stanowiska odpowiedniego tendencyom klubu. Z komunikatu tego łatwo można wywnioskować, iż w koalicyi naszej psuje się coś. — Wystarczy tylko wziąć pod uwagę utyskiwania lewicy na straty polityczne, jakie ponosi dzięki obecnej koalicyi. Świadomi utrzymują, iż w niedalekiej przyszłości cudowna harmonia parlamentarna rozbije się o lada szkopuł, a możliwem się wydaje, że szkopułem tym będzie — reforma wyborcza. Tak przynajmniej wynika ze słów posłów przemawiających podczas dyskusyi nad projektem nowej ustawy karnej za przedłożeniem rządowem. Ostrzeżenia, aby sprawę kodeksu karnego załatwić szybko „póki jeszcze zgoda panuje w koalicyi, bo burza piorunem brzemienna nadciąga“ — padają nie tylko z ławy ministeryalnej, lecz także z ław poselskich.

Tymczasem nie ma widoków, aby kodeks tak szybko przeszedł w stadyum urzeczywistnienia. Wprawdzie po długiej i spornej debacie, w której szczególniej dobitnie zadokumentował swój klerykalizm „przyszły kandydat na ministra i profesor in partibus infidelium“ — jak go ironicznie nazywaja pisma tutejsze — hr. Piniński, udało się p. Schönbornowi stanąć wreszcie u wrót specyalnej nad projektem debaty; ale w trakcie tejże trzeba będzie załatwić niemniej jak 326 samodzielnych wniosków, przedłożonych przez przeciwników projektu i zdążających do usunięcia kardynalnych jego błędów, — a orzech to niełatwy do zgryzienia.

Łatwiej może da się doprowadzić do skutku reforma postępowania sądowego w sprawach cywilnych, o którą od lat 50 błaga i kołacze ludzkość. Jak wiadomo, istnieje w Austryi jeszcze t. zw. postępowanie pisemne (w sprawach cywilnych) pochodzące z czasów Józefa IIgo, a uzupełniane przez jego następców nieprzejrzaną ilością zarządzeń, dekretów, rozporządzeń, ustaw, nawet i interpretacyi autentycznych, które tak ściemniły i tak już ciemną ustawę, że dzisiaj najuczeńszy prawnik w Austryi nie potrafi się zoryentować w masie przepisów procesowych często sprzecznych, która prawnie obowięzuje obecnie. Procesy, prowadzone wedle obecnej procedury, usuwały się zupełnie z pod kontroli stron. Otaczał je pewien mistyczny cień bezdusznego formalizmu, który wprost uniemożebniał lajkowi zdobycie sobie jasnego wyobrażenia o toku własnej sprawy, a pociągał za sobą olbrzymie koszta i pisaninę najzupełniej zbyteczną. Sposób powstania procesów w Austryi nabrał smutnego rozgłosu i to zupełnie słusznie. Wygrana lub przegrana w procesie zawisła po większej części od znajomości rozlicznych prze-

pisów proceduralnych u senatów sądowych; stosownie do tego, które przepisy lepiej były znane lub bardziej przypadały do upodobania danego trybunału — te stosowano do spraw sądowych, a wypadki sprzecznych wyroków ostatniej instancyi sądowej w sprawach tej samej kategoryi nie wywołują już w Austryi najmniejszego zdziwienia. Wiadomo bowiem, że najuczeńszy talmudysta zginąłby w tym labiryncie najrozmaitszych krużganków prawniczych, z których się składa stara procedura cywilna.

Upragnionej reformy dokonać ma rada państwa w najbliższym czasie. W bieżącym tygodniu kończy „wydział nieustający dla ułożenia odpowiedniego projektu“ swoję — od lat kilkudziesięciu ciągnącą się — pracę, a debata nad nowym projektem rozpocznie się uchwałą, normującą obrady nad nim. Niefortunna, przewlekła i bezowocna dyskusya dozna tem samem zbawiennego ograniczenia i — wolno cieszyć się nadzieją, że przynajmniej najbliższe pokolenie będzie mogło ciągnąć zyski z nowej reformy. — Krótszego terminu oznaczać w Austryi nie można.

Z innych spraw parlamentarnych zanotować wypada uchwałę, polecającą rządowi wyrabianie i bezpłatne rozdzielanie surowicy leczniczej (Heilserum) dla dotkniętych dyfteryą. Humanitarny ten wniosek znalazł tylko jednego zaciętego przeciwnika — na ławie młodoczeskiej.

W artystycznych kołach przygnębiające wrażenie wywarła wiadomość o deficycie tutejszego związku artystycznego „Künstlerhaus“ z wystawy międzynarodowej sztuki plastycznej, urządzonej tu w bieżącym roku. Deficyt ten wynosi 40,000 koron, a jest on oczywistym dowodem, iż naddunajska stolica dawno straciła prawo hegemonii w sztuce niemieckiej. Podobno zawiązał się komitet dam (!) celem zebrania funduszów na pokrycie tego deficytu. — W teatrze nadwornym wielkie powodzenie zyskał dramat Ibsena: „Podpory społeczeństwa,“ wykonany przez najznakomitsze siły Burgteatru. — W ludowym teatrze Rajmunda udramatyzowana baśń duńskiego poety Drachmanna: „Es war einmal....“ elektryzuje publiczność. — Po Berlinie przyszła kolej na Wiedeń zachwycać się skandynawską poezyą. Francuzi zbankrutowali zupełnie.

Essi.

NA WYŁOMIE.

(Kolizye uczuć. Wspomnienia. Klerykalizm poznański. „To ojczyzna wzięła“. Nowa kolizya uczuć. Obsequium odiosum. Ostrożnie z ogniem.)

Nie wesołe to życie polskie. Nie dla tego jedynie, że nas tak męczą i łzawią, ale i dla tego, że ten bój o narodowe istnienie zmusza niekiedy do zdeptania własnego indywidualizmu, do abdykacyi z wierzeń, przekonań i uczuć, do podporządkowania własnego „ja“ czynnikom, urągającym wszelkim pojęciom sprawiedliwości, i do złamania sztandaru społecznego, naukowego lub etycznego u stóp narodowych ołtarzy. Takie poświęcenia są nieraz boleśniejsze niż z krwi i mienia ofiary, a sumienie polskie często błąka się w rozpaczliwych wątpliwościach i nie wie gdzie się ukorzyć: czy tam, gdzie interes narodowy ciska Cezarowe „Sic volo“, czy tam, gdzie nas porywa to wszystko, co w człowieku myślącym **o p r ó c z** ojczyzny się mieści. Zdawaćby się mogło, że widmo takich kolizyi tylko wyjątkowo zjawia się na progu polskiego domu, ale gdy się rozpatrzymy dokładniej w bilansie życia publicznego, spotkamy na każdym kroku nieomal takie ofiary i takie zaparcia. Pomyślcie tylko! Ile razy z was każdy kawały serca z piersi swej wyrzucał — ile razy zaparł się gwiazd swoich, — ile razy w ewangelii ogólnoludzkich dążeń gasił hasła płomienne, aby to jedno, to potężne, to najukochańsze Bóstwo: Ojczyzna! nic nie utraciło ani na chwilę sługi swojego?

Mówiłem niedawno z jednym z niedobitków tego pokolenia, które w szóstem, siódmem i ósmem dziesięcioleciu bieżącego wieku żyło i działało. Był to jeden z najpiękniejszych okresów Księstwa naszego. Jakiś potężny prąd umysłowy, jakiś ruch ewolucyjny unosił ludzi ówczesnych. Duch konstytucyi przenikał całe społeczeństwo! Wielkie hasła rewolucyi francuzkiej zadźwięczały po raz wtóry i czarowną melodyą serca upoiły. Entuzyazm Europy szumiał jak burza po kraju, porywał serca, zapalał umysły. Ludzie kochali wolność, walczyli o prawa ludzkości i wyciągali ręce do gwiazd promienistych. Prąd wolnomyślny uniósł pokolenie ówczesne. Swoboda słowa, swoboda myśli, zapał i miłość potężna, — wszystko to przenikało polski organizm i w literaturze, sztuce, nauce szerokiem płynęło korytem. Prądy filozoficzne zachodu pojawiły się w pruskim zaborze, kruszyły więzy tradycyjnych pojęć i formułek, a piękny wyraz znalazły w dawnych Libeltach, Cegielskich, Bentkowskich i Marcinkowskich. I była wtedy jakaś wielka słoneczna swoboda, a ludzie wykąpani w tej atmosferze czystej oddychali całą piersią i żyli życiem pełnem i gorącem. A dziś? Minęło wszystko, a powietrze gęste jak w dusznych hameriach.

Tak mówił „jeden z ostatnich“, — wsparł się na fotelu i powieki zmrużył, jakby dnia dzisiejszego się lękał. Nastała długa chwila milczenia i dopiero po kilku minutach ciszy kamiennej odważyłem się podjąć wątek rozmowy. Szepnąłem coś o położeniu obecnem, o tem zupełnem wymarciu cywilnej odwagi w społeczeństwie poznańskiem i o tym mrocznym klerykaliźmie, który nas omotał jak pająk drobne żyjątko, wyssał z nowego pokolenia nieomal wszystkie liberalne soki, zaparł oddech swobodny w ojcach i synach, położył się jak góra olbrzymia na literaturze, prasie i życiu publicznem, wtargnął w wszystkie pory społecznego organizmu, pogrążył myśl ludzką w bezczynnej apatyi, rozsiał ziarno obłudy na poznańskim zagonie i zaprzągłszy całe pokolanie do swojego rydwanu przyzwyczaił nas do jarzma, do ślepej wiary w autorytety watpliwe, do zaparcia się własnych przekonań, inicyatywy i samoistności. Strach jakiś idzie przez wsie i miasta poznańskie. Ludzie lękają się głośno mówić i każdy spogląda bojaźliwie ku kazalnicem i konfesyonałom. Czy grom nie zahuczy? Czy klątwa nie padnie? Czy ci żył podcinać nie zaczną, aż padniesz bez krwi i bez siły, — trup moralny i materyalny? Ostatnie lata życia naszego smutne w kronikach swoich zapisały dzieje.

Staruszek słuchał mnie w zamyśleniu a potem smutnie tak mówił:

„Może to i nasza wina. Może w naszych koncesyach szukać należy początków złego. Ale wy nas nie wińcie... „to ojczyzna wzięła“. Widzisz! zanim walka kulturna nie rozpoczęła dzieła swojego i krwi serdecznej nam nie utoczyła, nie miał ten upiór klerykalizmu siły i wpływu w społeczeństwie poznańskiem. Zaglądał wprawdzie raz po raz pod strzechy nasze i zrywał się do akcyi zuchwalszej, ale obywatelstwo tak sprawiało szyki swoje, że próżno o macedońską falanx łbem twardym uderzał. Później jednak w interesie ojczyzny, w interesie ludu polskiego schowaliśmy zdrowy liberalizm do sekretnych szufladek, a nasze organy wolnomyślne zwinęły swój sztandar. Cóż chcesz? Mieliśmy walczyć, gdy Niemiec kapłanów polskich za gardło chwytał, gdy **n a r o d o w e** znaczenie kleru spotężniało w zmienionych warunkach wychowawczych i społecznych, gdy nad głowami ludu polskiego stanęło drapieżne zwierze germanizacyi? Mieliśmy iść ręka w rękę z wrogiem przeciw braciom? Boć przecież braćmi oni byli, choć tam nieraz jakieś obce wywieszali chorągwie. Zapomnieliśmy o wszystkiem, bo grom nad ojczyzną zawisnął. No! i tak się zaczęło. My schowaliśmy broń do pochwy, a oni pozostali na placu. Wkrótce robota ich była w całym biegu. Zdobyli wszystkie pozycye i jak sturamienny polip rozpostarli się po kraju. O! z piekielną zręcznością wyzyskali sytuacyą nową i zdobywszy umysły i serca młodszych pokoleń, dziś, gdy walka kulturna należy już do przeszłości, panują samowładnie i niepodzielnie, jak rzymskie Cezary. Kto tam wie do czego zmierzają i jakie są ich ostateczny cele? Ale to, co widzę, to stawianie Polski na drugiem miejscu, to zduszenie umysłów, ten teroryzm rosnący z dnia na dzień i jakiś chłód... chłód przeraźliwy, który od nich wieje, to wszystko trwożne budzi przeczucia. Tak! czas już do snu się ułożyć. Tu coraz duszniej i tak dziwnie głucho. Spojrz tylko, co się u nas dzieje, — jak ten stary świat skarłowaciał, a młody na „grzecznych chłopców“ pozuje. Zajrzyj do dawnych tomów „Dziennika Poznańskiego“. Jaki tam duch humanitarny wieje z każdego słowa, jaka odwaga cywilna i zdrowie! A dziś? Bezkrwistość rozpaczliwa, pleśń i Chińszczyzna. Może to nasza wina, może nie dość ostrożni byliśmy w koncesyach, ale widzisz: Cel tego zaparcia był święty ....„to ojczyzna wzięła“.

Podniósł się staruszek i poszedł. Ale słowa jego zawisły nad biurkiem moim i dzisiaj znowu żałosną melodyą dźwięczą mi nad uchem. Za dni kilka mamy stanąć do urny wyborczej, aby w radzie miejskiej zdobyć krzeseł kilka. Komitet prowincyonalny rozporządził, że w kampanii tej dr. Kusztelan wraz ze sztabem swoim objąć ma komendę. Rozkaz wydany — nam słuchać wypada. Ale niechaj najwyższa władza wyborcza Księstwa dowie się z ust naszych, że szerokie grono społeczeństwa tylko z niechęcią spełnia jej życzenie, że obraziła w najdotkliwszy sposób instynkt sprawiedliwości i jedynie przez wzgląd na dobrze zrozumiany interes narodowy znajdzie w nas posłusznych wykonawców swej woli. Nie wątpiliśmy wprawdzie ani chwili, że od ludzi, zatracających poczucie prawa w egzaltacyi stronniczej, wyjdzie petycya do Komitetu prowincyonalnego, o przywrócenie władzy kabinetowi dr. Kusztelana, ale ufaliśmy silnie, że najwyższa władza wyborcza, pomna nieprzebrzmiałych jeszcze skarg delegatów, wzniesie się ponad manipulacye stronnicze, i „klub panów zmartwychwstańców“ do porządku powoła. Komitet dr. Kusztelana złożył urzędy swoje **b e z w s z e l k i c h z a s t r z e ż e ń** i jedynie walne zebranie wyborców mogło go powtórnie do życia powołać. To też najelementarniejszy instynkt bezstronności powinien pouczyć naszą najwyyszą władzę wyborczą, że tam, gdzie stary komitet zakończył istnienie swoje, a nowy dla błędów formalnych sankcyi nie uzyskał, jeden tylko wyrok sprawiedliwie kwestyę rozstrzygał: „Poznań nie posiada żadnej władzy wyborczej. Komitet prowincyonalny zwołuje powtórne zebranie pod własną egidą i na drodze legalnej uskutecznia wybór nowego komitetu“.

Od wyborów do rady miejskiej dzieliła nas w chwili pamiętnego rozbicia na sali Lamberta nieomal czterotygodniowa przestrzeń, a zatem niechaj nikt nie mówi o krótkości terminu, nawale prac przedwyborczych i t. d. Był czas wystarczający do sprawiedliwego rozstrzygnięcia sprawy, ale komitet prowincyonalny wolał tak rozporządzić, jak interes koteryi i maszynista teatralny ugodowego „Varieté“ zażądał. Toż dzisiaj opinja publiczna coraz głośniej mówi, że „komitet prowincyonalny jest to jeden człowiek“, a ten „jeden“ lęka się nowych wyborów i stronniczość jego z szałem już graniczy.

Stało się! Roma locuta, — my słuchać będziemy. Oświadczamy jednak raz jeszcze, że posłuszeństwo nasze jest aktem zaparcia i poświęcenia w imię sprawy publicznej. Trzeba bowiem wprzódy zdeptać własne poczucie logiki i sprawiedliwości, aby stanąć do urny według komendy zmartwychwstałego komitetu. Ostrożnie z ogniem, panowie! Nie przeciągajcie struny, bo pęknąć gotowa.

Sulla.

Z estrady i sceny.

(Koncert Bulssa).

Do poznańskich stałych gości, z któremi od lat kilku w sali koncertowej spotkać, można się zaliczyć muszę także nadwornego śpiewaka pana

Bulssa z Berlina. Artysta cieszy się widocznie u melomanów poznańskich wielką popularnością, skoro wielbiciele jego talentu zdołali obszerną salę Lamberta na wtorkowym koncercie wypełnić. Śpiewak zajmuje pomiędzy obecnymi niemieckimi barytonistami wybitne zresztą miejsce. Prócz głosu pięknego i giętkiego, czystej intonacyi i znakomitego wyrównania całej skali odznacza się śpiew p. Bulssa wielkim zapałem, starannem frazowaniem i charakterystycznem wykonaniem tematów muzycznych, świadczącem najlepiej o głębokiem wniknięciu w ducha utworu. Tej charakterystyce, wynikającej z przejęcia się każdorazową sytuacyą aż do złudzenia, poświęca artysta *nieraz* niestety wyraźną wymowę i szlachetność głosu, kładąc większy nacisk na myśl muzyczną, niż na techniczne wykończenie. Sympatycznym dla mnie jest zawsze układ programów artysty. Przeważają w nich wartościowe, mniej albo wcale nieznane utwory, nie nadające się nawet często do popisu koncertowego w zwykłem tego słowa znaczeniu, ale posiadające prawdziwą i niezaprzeczoną wartość muzyczną. Do tych ostatnich zaliczam niektóre utwory Schumanna i mało u nas znanego kompozytora Loewego, autora rozlicznych balad na głos jeden z towarzyszeniem fortepianu. Pana Bulssa zaliczają ogólnie do wybitnych interpretatorów tego kompozytora. Na wtorkowym koncercie wykonał artysta z utworów Loewego mniej znane „Czaty“ do słów Mickiewicza i baladę „Uwięziony admirał“. Pierwszy utwór, który pod względem przeprowadzenia pięknych motywów na tle charakterystycznego akompaniamentu śmiało można stawić obok znanej kompozycyi Moniuszki do tych samych słów, byłby tem większe wywarł wrażenie na liczną, przeważnie niemiecką publiczność, gdyby do programów, jak to zresztą we zwyczaju, dołączony był tekst. Publiczność niemiecka mało obeznana z poezyą naszą, traciła, nie rozumiejąc wszędzie słów, niejako klucz do zrozumienia pięknego zresztą utworu. W takim znów samem przykrem położeniu musieli się znajdować i najuważniejsi moi ziomkowie podczas wykonania drugiego utworu Loewego, „uwięziony admirał“.

Balada ta, której początkowy melodyjny frazes przypomina dość wiernie Moniuszki „Prząśniczkę, wykazała dobitnie wszystkie zalety śpiewaka, a wykonana nadto z siłą i ogniem głęboko i trwałe wywarła na słuchaczach wrażenie. Tem większa szkoda, że dla wielu nieznajomość słów stawała niejako na przeszkodzie do tym dokładniejszego zrozumienia całego utworu. — Z dalszych produkcyi zasługuje na odznaczenie piękne wykonanie 3 pieśni Schuberta: „Drogowskaz“, „Pod lipą“ i „Król olch.“, mianowicie w drugiej zwymienionych pieśni brzmiał głos niezwykłą szczerością i ciepłem uczucia. Genialna zaś balada Schuberta „Król olch“ z prawdziwą dramatyczną werwą i siłą wykonana, przejęła na wskroś zgrozą sytuacyi najzimniejszego zapewne słuchacza, i choć właśnie tu nieraz wybredniejsze ucho razić musiała pewna szorstkość głosu, to jednak wadliwość ta wobec porywającej interpretacyi, pełnej prawdy i zrozumienia muzycznej myśli, całkiem prawie znikła.

Widocznie chodziło tu artyście więcej o charakterystyczne brzmienia niż o miękkość i piękność głosu.

Z wykonanych czterech pieśni Schumanna podnieść wypada znaną, a piękną pieśń „Schoene Wiege meiner Leiden“ i „Widmung“, a nadto dodaną „Fruehlingsnacht.“ Na zakończenie odśpiewał artysta kompozycyą cesarza Wilhelma II-go „Sang an Aegir.“ Ze względu na osobę kompozytora wstrzymuję się od wszelkich krytycznych uwag. Z dalszych nowoczesnych utworów zainteresowała ogólnie udatna „Serenada“ Ryszarda Strauss'a i „Piosnka o Kasi“ M. Stange'go.

Jako wyborny akompaniator do śpiewu przedstawił się p. Masbach. Inteligentną i charakterystyczną swą grą przyczynił się artysta do tem większego podniesienia piękności utworów wykonanych, jak i wogóle śpiewu, a stosując się wszędzie do interpretacyi solisty stworzył harmonijną całość, o jaką przy wspólnych produkcyach tak trudno. To podporządkowanie się i zrozumienie najskrytszych intencyi pana Bulssa świadczy najlepiej o talencie i prawdziwej muzykalności pana Masbacha. Tem dziwniejsze, że mimo tego widocznego uzdolnienia, popartego wielką wprawą w pokonaniu zawiłych technicznych trudności, solowa gra pianisty głębszego nie zdołała na słuchaczach wywrzeć wrażenia. Artysta zagrał solo Chopina: trudne Scherzo Cis-moll i Balladę G-moll, ale mimo szczęśliwych momentów i udatnych szczegółów całość nie zadowolniła, a polot fantazyi, „przerwany nawet niedopisywaniem pamięci, nie zdołał uchwycić sam myśli w całej pełni i takową przelać na słuchaczy. Nawet trochę ograne i ogólnie znane Webera „Zaproszenie do tańca“ nie podniosło ogólnej temperatury, co dopiero nastąpiło po udatnem wykonaniu Wagnera „Feuerzauber“ w opracowaniu Brashin'a i Polonezu E-dur Liszta.

Jeśli solowa gra p. M. nie zdołała mnie i wielu innych całkiem zadowolnić, to za to fortepian z fabryki Bluethnera, jaki tutejszy znany skład fortepianów p. Eckego dostarczył, zadowolnił pod względem brzmienia i najwybredniejsze ucho.

Edwin Jahnke.

KRONIKA LITERACKA.

K. Ehrenberg. Świat feljetonowy. Kraków 1894. Do typów fin de siecle'u przybył jeszcze jeden, nie tyle nowy, ile zawsze prawdziwy. Paweł Sielnicki, felietonista „Sztandaru“ jestto człowiek zdenerwowany i chory, szukający i tęskniący wiecznie za czemś, czego w chwili danej nie posiada, któremu nic szczęścia nie przynosi, który żyje w ciągłej illuzyi i oszołomieniu bez wyraźnego celu w życiu. W mieście były dlań światem zalotne oczy i szampanowe butelki, na wsi chciał samotności, nie robił nic, nie pisał, nie myślał, tylko krążył wśród łąk i lasów, kojąc swe znużenie i przesyt łagodnym spokojem natury. Wśród tej ciszy sielskiej poznaje pannę, dla której zagrało mu uczucie w zniszczonych piersiach i ogień w zbladłych od rozpusty oczach. Panna Irena odpłacać się mu zdawała uczuciem, ale on tylko tak długo miłości pragnął, póki jej nie zdobył; kiedy ją pozyskał, straciło dlań wszystko urok; energia i zapał, a z nią i miłość przygasły. I tak uciekła mu ostatnia mara szczęcia niepowrotnie; znowu powraca do szalonego wiru wielkiego miasta, do gorączkowego życia, do chwilowych romansów i nocnej rozpusty, tylko jeszcze smutniejszy i jeszcze bezsilniejszy.

Do treści, zaliczyćby wypadało szkicowy opis życia dziennikarskiego i kilka typów, składających się razem na wcale szumny tytuł „Świat feljetonowy“. Powiadam do treści, bo tła nie ma w tym opowiadaniu, i to jest głównym błędem opowiadania. Wskutek braku tła wyszło wszystko ostro i kanciato, brak całości harmonii i zaokrąglenia. Za wiele miejsca poświęcono charakterystyce osób epizodycznych, kreślonych zresztą w niepewnem i nieokreślonem świetle bez pełni i jasności barw. Postać Sielniekiego przeprowadzona wybornie, dużo scen i opisów ładnych, psychologia głęboka, myśli i refleksyi dużo, zalet w ogólności nie mało, dobrze świadczących na przyszłość, która zapewne przedstawi nam przymioty te w harmonijnie zaokrąglonej całości, malowanej miękkiemi i pełnemi barwami.

Bo... bd...

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Francya zorganizowała już siły zbrojne na wyprawę madagaskarską. — Według Koeln. Ztg. ślub cara odbędzie się 22 bm. — Germania donosi, że jenerał-gubernator Hurko zażądał od nowego cara zaprowadzenia stanu wyjątkowego w Królestwie polskiem. — Japończykom nie udało się dotychczas zdobyć portu Artura. — Ministrem sprawiedliwości w Prusach został p. Schönstedt, prezes sądu nadziemiańskiego w Zelle. — Polki z W. Ks. Poznańskiego zawiązały komitet w celu urządzenia na przyszłorocznej wystawie działu przemysłu dowowego. Przewodniczącą obrano p. Pelagię Stablewską, wiceprzewodniczącemi p. prezesową Motty i prof. Węclewską, kasyerką p. Teodorę Kusztelan, sekretarkami p. Halinę Daszkiewicz, Zofię Knsztelan i Józefę Sawicką.

Zjazdy i kongresy. W ubiegłą niedzielę odbył się w Poznaniu zjazd kupców polskich, na którym postanowiono połączyć się w „Z w i ą z e k“. — W czwartek odbył się w Poznaniu zjazd prezesów polskich towarzystw przemysłowych, na którym przyjęto w z a s a d z i e projekt mecenasa Czypickiego, zmierzający do utworzenia „Związku towarzystw“ przemysłowych“. Ze względu jednak na przedwczesność takiej organizacyi wybrano tymczasem „stały wydział przemysłowy,“ który sprawę tę bliżej rozpatrzy.

Wystawy. W Warszawie powstał projekt urządzenia wystawy krawieckiej. — Wystawę Antwerpską zamknięto 5 b. m. — W Frankfurcie nad Menem odbyła się wystawa piekarsko-kucharska.

Teatr i muzyka. P Leszczyński rozpoczyna 22 b. m. szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. Helena Modrzejewska ukaże się prawdopodobnie również na deskach teatru naszego. — W ubiegłą sobotę odegrano na scenie naszej owianą smętnym liryzmem jednoaktówkę Przybylskiego „Bzy kwitną“. Pani Królikowska i p. Sosnowski, a mianowicie szczera w każdym ruchu i słowie p. Helena Zimajer odegrali role swoje nieomal koncertowo. Niemniej korzystne wrażenie wywarła na publiczności jednoaktówka Fr. Domnika p. t. Dzieci muzy, — dość wierny obrazek artystycznego cygaństwa. Motyw fabuły nieco zużyty, ale postacie poetów i malarzy zdradzają talent obserwacyjny autora. Z artystów wyróżniali się korzystnie grą charakterystyczną p. p. Rapacki i Wojdałowicz. Trzecia jednoaktówka Jordana p. t. „W Lesie“ nie posiada żadnych zalet literackich prócz gładkiego wiersza. — W. Wiedniu przygotowują nową operę Smetany p. t. Tajemnica. — We Lwowie wystawiono dramat Meterlincke p. t. G o ś ć n i e p r o s z o n y. — Gerhard Hauptman napisał nową sztukę pt. „Florian Geyer“, która ma się pojawić w berlińskiem „Deutsches Theater“. — W Poznaniu odbędzie się niebawem koncert Śliwińskiego.

Zmarli:

Romuald Wieland, rolnik i pisarz w kwestyach ekonomicznych, zm. 1 listopada w Warszawie.

James Darmestetter, wybitny orjentalista francuzki, zm. w Paryżu.

Alfred Schönwald, literat i publicysta niemiecki zm. w Hamburgu.

Dr. Ludwik Lewes, autor „Postaci kobiecych Göthego“ i wielu innych dzieł z zakresu literatury zm. w Monachium.

BIBLIOGRAFJA.

Henryk Wernic. Myśli o wychowaniu i nauczaniu. Warszawa 1894. Cena 2,00 Mr.

Adam Darowski. Szkice historyczne. Serya druga. Petersburg 1895. Cena 7,00 Mr.

Wiktor Gomulicki. Złote ogniwa Powieść w dwóch tomach. Warszawa 1895. Cena 5.00 Mr.

Chochlik. Kalendarz humorystyczny Warszawa 1895-

Odpowiedzi Redakcyi.

S. G. Dziękujemy. Poezyi jednak zamieścić nie możemy ze względu na brak warunków litarackich, myśli zaś poruszone w artykule nadesłanym, były niejednokrotnie już przedmiotem dyskusyi w „Przeglądzie.“

Farys. Cierpliwości! Materyałów beletrystycznych mamy tak wiele, że recenzyi nadesłanej chwilowo zamieścić nie możemy.

Helena. Dwuwiersz, o który Pani zapytujesz, wyjęty jest z Dziadów. Część IV.

Telesfor Ruszcz. Prosimy podać bliższy adres. Nowella nadesłana wymagą opiłowania i skrócenia.

N. Z wyższych szkół agronomicznych polecamy w pierwszym rzędzie Berlin lub Hallę. Akademję rolniczą w Wrocławiu otwarto zaledwie przed kilku laty.

Składki

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki nadesłali:

Akademicy z Rostoku... 4,50 Mr.

Dotychczas zebraliśmy 119,50 Mr.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Dr. Fonrobert z Rostoku 5 Mr. T. Kaufman cand. med. 3 Mr. Krebs cand. med. 3 Mr. Krefft cand. med. 3 Mr. Dr. Michalski 2 Mr. Cz. Nawrocki cand. med. 3 Mr. Redner cand. med. 3 Mr. (wszyscy z Rostoku). Fran. K. z Berlina 3 Mr. Ziol. 3 Mr. Dr. Temp. 1 Mr. Jeske 1 Mr. Hr. Monte 1 Mr. (wszyscy z Berlina). Razem 31 Mr.

Dotychczas zebraliśmy ogółem 604,50 Mr.

Wszystkim ofiarodawcom, a mianowicie dzielnej młodzieży akademickiej z Rostoku przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać.“

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.